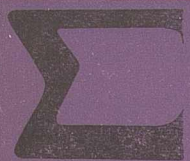


A 289711

sigma



5

—55—
1973/74

MAGAZYN PROBLEMOWO-INFORMACYJNY
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ



w numerze
**KULTURA
STUDENCKA**

Wojciech Aleksiewicz

Motto:

Natura horret vacuum

Tytuł artykułu, będący swobodną trawestacją znanego oenzetowskiego dokumentu, pozwala domyślić się, że będą w nim omawiane problemy niebagatelne. Dla nas są nimi alarmujące przejawy obniżania się poziomu intelektualnego i kulturalnego studentów uczelni technicznych, zamierania specyficznie studenckiej kultury. Niniejsze rozważania oparte są na obserwacji studentów młodszych lat w naszej Uczelni. One to pozwalają twierdzić, że gdyby na przykład w gmachu D-1 miało się odbyć spotkanie z Grotowskim, pojawiłyby się wielkie trudności w skompletowaniu sali, a o dyskusji nie byłoby mowy.

Dlaczego tak się dzieje? Co tłumaczy studenta drugiego czy trzeciego roku Politechniki, który nie wie nic o Pantomimie Tomaszewskiego? Co pozwala mu chodzić do kina na idiotyczne, głupie filmy i nic zupełnie nie wiedzieć o Bergmanie, Losey'u, Lelouch'u, Russel'u, Andersonie...? Do kina (o przepraszam — „na film”) nie idzie się po to tylko, aby się „idealnie” rozerwać, ale też i po to, aby przejmować pewne wartości kulturowe. Film, teatr, książki, wystawy uczą patrzeć, myśleć, wreszcie — co chyba najważniejsze — wychowują. (Przepraszam za truizm).

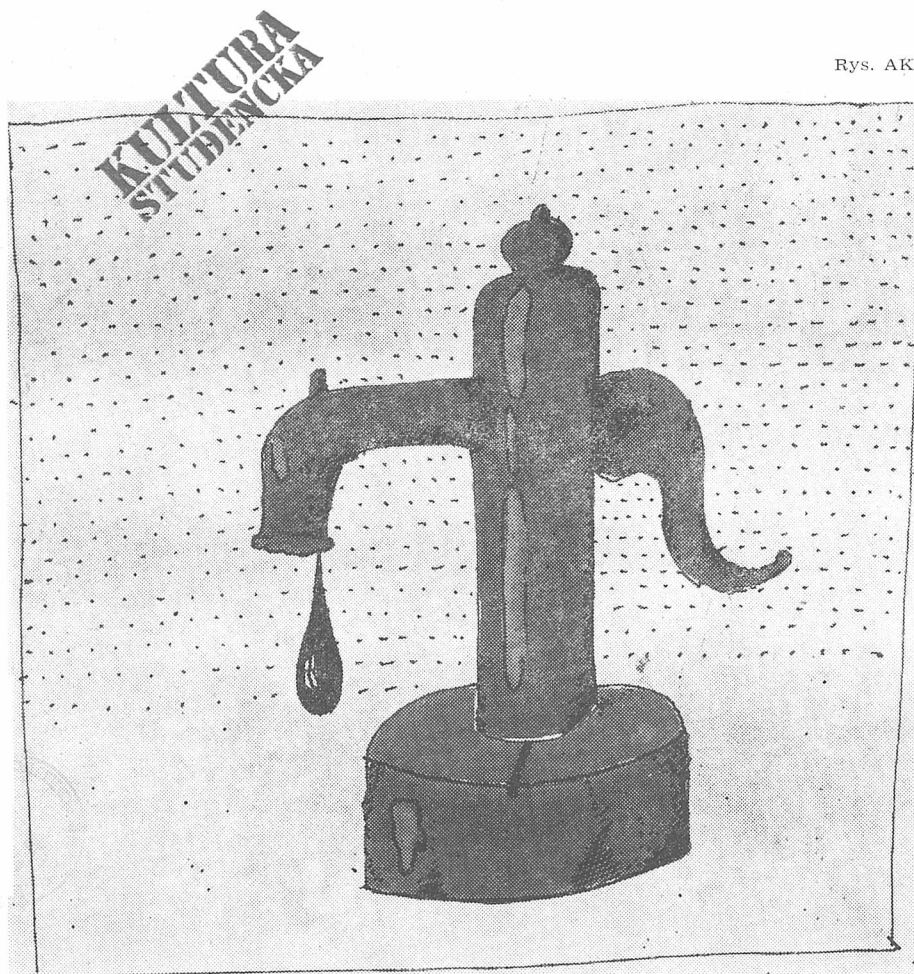
Poszczególne instytuty dysponują funduszami na „cele kulturalne” (sukcesywnie obcinanymi z powodu ich niewykorzystania), które pcha się w mało atrakcyjne, nudne i, powiedzmy sobie szczerze, niepotrzebne prelekcje czy odczyty. Studentów trzeba namawiać do odwiedzania przybytków Muz (łącznie z tą dziesiątą), mimo iż Uczelnia często całkowicie pokrywa koszty takich imprez. Chętnych jest znikoma garstka. A skutki są takie, że z przeciwnym naszym studentem nie można rozmawiać na temat kina, teatru, czy nowych pozycji wydawniczych. Nie można, gdyż po prostu wiedza jego w

tej materii jest bliska zeru (bezwzględ-nemu).

Pozwoliłem sobie przeprowadzić małą ankietę — test. Wszyscy indagowani pochodzili z Wydziału Elektrycznego, a to z dwóch względów. Po pierwsze: wydział ten niewątpliwie należy do najbardziej „odhumanizowanych”, po drugie: z tego wydziału pochodzi niżej podpisany. Kolegom z I, II i III roku zadalem pytania:

- Czy czytasz stale, bądź czasami „Kulturę”, „Politykę”, „Odrę”, „Życie Literackie”?
- Kto to jest Peter Brook?
- Wymień co najmniej jeden spektakl „Laboratorium”.
- Podaj chociaż jedną pozycję Wańkowicza, Różewicza.
- Wymień dwie polskie współczesne sztuki teatralne.
- Wymień po dwóch reżyserów filmowych francuskich i angielskich.
- Twoja ostatnio przeczytana książka.
- Jakie znasz polskie teatry studenckie (poza wrocławskimi).
- Co wiesz o Wielodostępny Abo-nenckim Systemie Cyfrowym?

Rys. AKD



Ankieta ułożona ad hoc. Pytania, może chaotyczne, lecz nikt nie powie, że aby na nie odpowiedzieć, trzeba problemem zajmować się zawodowo. Wyniki... przerażające! Nie będę ich dokładnie analizował, nie będę podawał procentów. Niestety, wniosek jest bardzo przykry. A jest to tym dziwniejsze, że spora część „świeżo upieczonych” wywodzi się z liceów ogólnokształcących. Powinni więc być tym mocnym, odświeżającym zastrzykiem dla środowiska. Tymczasem, albo gubią się równając w dół, albo szkoły... (ale tu wkraczamy w sferę działalności prof. Szczepańskiego).

Co czyta student — „politechnik”? — Książki — od święta, i to raczej grafomańskie dreszczowce, z prasy — „Gazetę Robotniczą” i „Wieczór...”, w których szuka najchętniej wiadomości typu „Loch Ness”, dalej — „Sport” i (niejako z powodu przynależności do środowiska) — „ITD”. Czy to nie wydaje się nieprawdopodobne, że w dwudziestokilkusobowej grupie tylko jedna(!) osoba czytała stale „Kulturę” i „Politykę”? Skutek tego taki, że dziewczyna

o średniej grubo powyżej „cztery”, przed wejściem na egzamin z PNP, z obłędem w oczach szukała człowieka, który by jej powiedział, kto jest obecnie sekretarzem generalnym ONZ. A gdy wiadomość ta wreszcie do niej dotarła, wyraziła zdziwienie. Nie dajmy się zwariować! Czy egzamin ten ma być wykładnikiem konkretnej wiedzy o zagadnieniach politycznych popartej rzetelną podbudową teoretyczną, czy też jedynie odpytaniem wykutej treści podręcznika — „makiety” z odpowiednio dolaną „wodą”?

W niektórych szkołach średnich, na lekcjach wychowania obywatelskiego obowiązują uczniów tak zwane „prasówki”. Muszą się oni bowiem wykazać znajomością bieżących zagadnień politycznych, gospodarczych i kulturalnych. Po opuszczeniu szkoły, jedni kontynuują zrodzone zainteresowania, inni, a jest ich, niestety, przerażająca większość, szybko zapominają o tym. A przecież w dzisiejszej dobie jeszcze bardziej uaktualniła się stara prawda, że kto stoi w miejscu, ten się cofa.

Problem jest bardzo poważny. Jak ukierunkować zainteresowania studenta? Jeśli student nie stanie się odbiorcą kultury teraz, to znaczy w okresie najintensywniejszego rozwoju umysłowego, w okresie kształtowania się światopoglądu i osobowości — nie zrobi tego nigdy.

Tu właśnie bardzo ważną rolę mogłyby odegrać kluby studenckie, które bądź co bądź, spełniają rolę studenckich centrów kulturalnych (rozrywka też jest przejawem kultury). Jak dotychczas, opierają się one niestety głównie na cotygodniowych tzw. ubawach, które niczym nie różnią się od popularnych, powstających ostatnio jak grzyby po deszczu dyskotek. Przerywanie muzyki po to, aby urządzić konkurs na szybkie jedzenie cytryny (sic!) nie załatwia chyba sprawy. (Coraz też więcej w klubach snobującej się młodzieży pozastudenckiej. Bezapelacyjnie króluje tu „Pałacyk”, na szczęście sytuacja w naszych klubach jest nieco lepsza).

Muzyka z gatunku „buble gum” serwowana koniecznie na „full” razi co delikatniejsze uszy, bynajmniej nie tylko swoim natężeniem. A gdzie zespoły i kabarety studenckie? Może zeszły w „podziemie”? Hej, gdzie ta niedysiejsza atmosfera klubów, kiedy to słuchało się muzyki i poezji naprawdę ambitnej? Gdzie te legendarne już igrze, zabawy, żakinady? Jak ratować tę „studenckość”, o której tyle się słyszało i o której marzyło się jeszcze w szkole średniej? Czy „studenckość”, to tylko demonstracyjne noszenie odznaki SZSP przy koszulce bez rękawów, demonstracyjne kupowanie biletów „studenckich”, czy głośnie rozmowy w przepelnionym tramwaju o tym jak to było na kolokwium?

Próby wyjścia z impasu jak dotąd zawodzą, trafiając w chiński mur obojętności i nieaktywności tzw. studenckiej braci.

Swego czasu grupa chłopców zorganizowała w klubie dyskotekę o nieco odmiennym charakterze. Nie chodziło bynajmniej o umiłanie życia studentom tańcami. Każdy muzyczny seans był poprzedzany prelekcją czy wprowadzeniem wnikliwie analizującym rodzaj muzyki i treści, które ona wyraża. W zamyśle organizatorów leżało udostępnienie tzw. szerokim rzeszom unikalnych nagrań, od których stroni Polskie Radio. Chodziło o wyperswadowanie im, że naprawdę nic w sobie nie

mają produkcje „Czerwonych gitar”, „Wiatraków”, Laskowskiego, czy nieśmiertelnego „Tercetu...”. Słuchacze mieli poznać teksty Dylana, Morrisona, fascynujące produkcje Zappy, Davisa, czy Schoffa. Mieli otrzymać pełnię muzyki współczesnej — od „undergroundu” do Pendereckiego, co dawałoby skalę porównań i wolną drogę do wniosków. Pomysł szlachetny. Co się tymczasem okazało? Po kilku programach „narwani” działacze muszą z braku słuchaczy zawiesić działalność. Jakież to znamienne.

Ostatnio wprowadza się na szeroką skalę specjalizację klubów. Propozycja ta wyszła z Politechniki. Pomimo — jak na razie — raczej minimalnego zainteresowania, projekt ten pozwala na optymistyczne spojrzenie w przyszłość. Boję się jednak, by po reorganizacji kluby nie stały się już tylko terenem działania dla bardzo wąskiej studenckiej elity intelektualnej, która mając idealne warunki dla rozwoju swoich zainteresowań, bardzo szybko oddali się od „szarej masy” nastawionej na bierny odbiór gotowej „papki”.

Przeciętny student nie chce (lub czyini to bardzo opornie) przyswajając sobie kultury, nie mówiąc już o jej tworzeniu. Kompletny marazm, obojętność

i abnegacja. A przecież opuściwszy mury szacownej „alma mater”, młody inżynier będzie ją kompromitował w oczach społeczeństwa. Cóż z tego, że dobry fachowiec, że rokuje duże nadzieje. Wyjeżdżając na praktykę, wymianę naukową czy wreszcie — na delegację z zakładu pracy, reprezentuje nie tylko uczelnię, zakład, ale i kraj. A tam w prywatnych rozmowach dotyczących przecież nie tylko autorytetycznych zabezpieczeń czy strat mocy w liniach dwuprzewodowych, trzeba będzie umieć sklecić kilka zdań i na inne tematy.

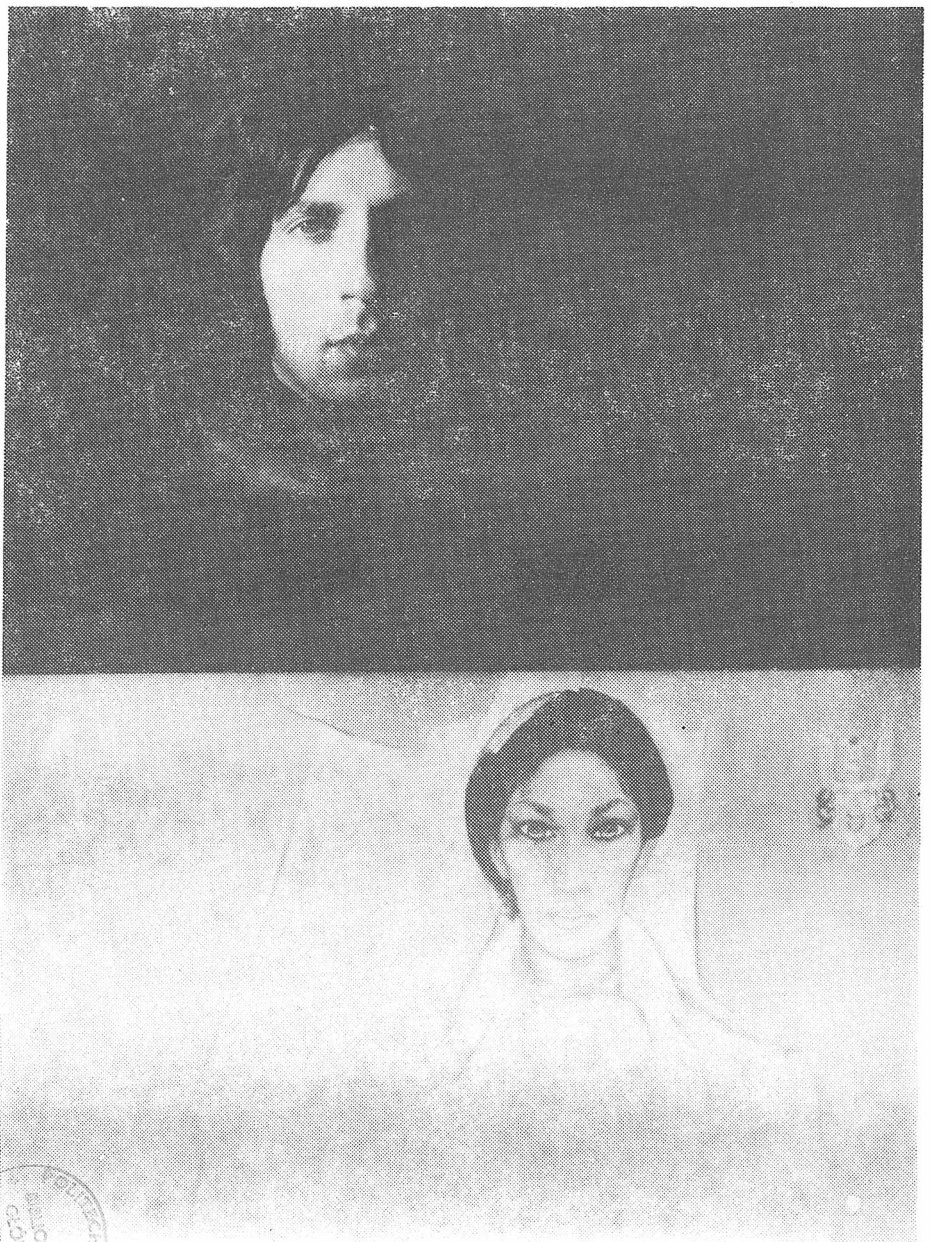
Pewna studentka (Studentka) powiedziała mi: „... jedni chodzą do ogrodu botanicznego wkuwać ekonomię polityczną, a ja chodzę tam podziwiać kwiaty”. Prawda, jakie to proste i piękne?

Zagadnienie tzw. „zmłocenia” dotyczy jednak przerażającej większości. Jak więc będzie wyglądała w przyszłości elita społeczeństwa — warstwa, która jest nośnikiem zdobyczy kulturowych i technicznych narodu?

Co zrobić, jak ruszyć, uaktywnić, zapobiec, podnieść, zmienić? Czy pytania te pozostaną bez odpowiedzi?

WOJCIECH ALEKSIEWICZ

Fot. K. ŁUKASIEWICZ



tyrania cywilizacji i tyrania kultury

Rozmawiamy z prof. drem Janem Trzynadlowskim, kierownikiem Zakładu Teorii Literatury Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego.

Ostatnio pisze się i mówi coraz częściej o tzw. humanizacji, zwłaszcza humanizacji techniki. Już sam termin wydaje się symptomatyczny. Jak Pan Profesor, zawodowo zajmujący się teorią literatury, a więc – także częściowo teorią kultury, ocenia relację między kulturą a techniką we współczesnym świecie? Słyszysz się nawet głosy, że technika „pożarła” kulturę...

Na wstępie chciałbym poświęcić nieco uwagi problemom terminologii, jaką będę się posługiwał. Trzy określenia – humanizm, humanistyka, humanizacja – występują obecnie najczęściej. Z całą pewnością odożymy na bok humanistykę, a zajmiemy się humanizmem, a szczególnie humanizacją. Humanizm rozumiany szeroko odnosi się do pewnego zespołu postaw ludzkich, stosunków między ludźmi, ludzkiej orientacji w świecie, do sfery idei i ideologii, rzecz jasna także do całokształtu zjawisk kultury.

Jak wiemy zarówno z badań, jak i z naszych obserwacji historycznych i osobistych, kultura to zjawisko złożone, w zasadzie obejmujące dwa jak gdyby działy: (1) wytwory typu materialnego, technicznego (takie np. jak budownictwo, architektura, przemysł), wszelkiego rodzaju wytwarzanie dóbr materialnych potrzebnych do ludzkiej egzystencji i (2) kultura – to także pewien zespół wytworów, jak niektórzy mówią – duchowych, umysłowych, emocjonalnych (literatura, sztuka, obyczaj, moda, częściowo sport, systemy filozoficzne etc.).

Otóż badania pokazują i historia dowodzi, że zarówno te wytwory pierwsze, które czasem nazywamy cywilizacją, jak i te drugie, które nazywamy kulturą w ściślejszym tego słowa znaczeniu, w istocie rzeczy zmierzają do jednego i wynikają z jednego źródła. To znaczy: po to one istnieją, żeby człowiekowi zapewnić istnienie, a z drugiej strony – zapewnić mu godziwe istnienie na miarę jego aspiracji i potrzeb oraz żeby łagodzić konflikty między jednostkami i grupami, a wreszcie – ażeby go stabilizować psychicznie, narodowo, dawać poczucie godności, wartości i w jakimś sensie rozwijać jego szersze władze psychiczne. Naturalnie oba zjawiska: tj. cywilizacja, czyli kultura materialna i kultura (w rozumieniu podanym poprzednio) wiążą się z sobą bardzo ściśle. Z całą pewnością cywilizacja pozbawiona elementów kultury (w naszym pojęciu) może stać się wartościową samą dla siebie, a więc nastawioną bardziej na technologię niż na człowieka. Z drugiej strony tzw. czysta kultura nie może funkcjonować, jeśli nie posiada pewnego zaplecza i podstaw materialnych.

Stwierdzono to już bardzo dawno, kiedy mówiono: „primum edere deinde philosophari”, tzn. najpierw trzeba mieć środki utrzymania, żeby móc rozwinąć myśli filozoficzne; albo to inne określenie, że do minimum moralności potrzeba minimum egzystencji. Otóż badania i obserwacje prowadzone od dawna, ważne dla praktycznego ich wyrażania i wykorzystywania pokazują, że w zasadzie technika nastawiona jest na to, by bronić człowieka przed niebezpiecznymi zjawiskami idącymi ze strony przyrody. Z kolei ludzie łączący się w grupy (takie jak rodzina, naród, organizmy ponadpaństwowe) siłą rzeczy wytwarzają swoiste zagrożenie. I tak jak ten stosunek między człowiekiem a przyrodą próbuje regulować technika, a więc cywilizacja, tak też stosunki między ludźmi próbuje regulować kultura (system praw, system etyki, pojęcia estetyczne). Współcześnie (i w przyszłości) ze szczególną siłą zaczyna się ujawniać kolizja zachodząca między czynnikiem pierwszym a drugim (spotęgowanie działalności technologicznej bez dostrzegania lub zaniechania zagadnień czysto ludzkich). Można z kolei skoncentrować się na zjawiskach czysto ludzkich i nie doceniać tego, co z sobą niesie cywilizacja. Otóż na pewno obie postawy są niesłuszne: i w aspektach społecznych niebezpieczne. Widać to m.in. na takich zjawiskach, jak niszczenie przyrody, gdy rozwój technologii odbywa się kosztem środowiska naturalnego. Druga rzecz bardzo ciekawa, że ludzie, organizacje ludzkie a także badacze zwracają uwagę na czynnik pierwszy i na czynnik drugi, inaczej mówiąc – ideologia, nauka zajmuje się zarówno cywilizacją, jak i kulturą. Niemniej przez bardzo długi okres – badania te nie były końcowe jednoznaczne wnioskami, tzn. wiedziało się o pewnych rzeczach dla nich samych. Obecnie jesteśmy w tej kulturowej fazie wzajemnego dostrzegania (i wzajemnej konieczności dostrzegania) związków zachodzących między cywilizacją i kulturą. Chodzi więc o to, by nie tylko proces wytwarzania przebiegał prawidłowo, ale by celowość wytwarzania tych przedmiotów była sensowna praktycznie.

W związku z tym wyłania się nowe pojęcie humanizacji, rzecz jasna, nie zawsze jednakowo rozumiane, pojęcie otwarte, będące stałym przedmiotem poszukiwań, a częściowo – co jest może najważniejsze – wdrażań. A więc po pierwsze: humanizacja jako pewnego rodzaju generalna postawa nastawiona na to, by rozwój cywilizacyjny harmonizował z rozwojem społecznym i temu rozwojowi służył. Po drugie: chodzi

o to, żeby w badaniach, planowaniu (i w realizacji planów) brać pod uwagę oba te czynniki skorelowane, żeby rozwój cywilizacji technicznej nie odbywał się żywiołowo, żeby człowiek mógł nad nim panować, żeby zdawał sobie sprawę z celów i ze skutków swojej działalności. Ale z kolei żeby ci, których tak profesjonalnie określiliśmy jako humanistów, orientowali się w tym, że ich badania, ich inicjatywy winny liczyć się ze zmieniającym się obliczem technicznym świata. Po trzecie: problem humanizacji to nie tylko właściwy sposób adaptowania ludzi, ale to także pewien zespół czynności związanych z realizacją praktyczną, badawczą i wykonawczą. Historia pokazuje, że w rozwoju nauk czy też wytworów kulturowych pojawia się swoista sprzeczność.

Na czym ona polega?

Niegdyś mówiło się, że istniała epoka geniuszy, dzisiaj mówimy, że w miejsce genialności jednostki wchodzi genialność organizacji i zespołu. Widzimy więc zjawisko charakterystyczne, że w skutecznym działaniu naukowym i praktycznym musi brać udział coraz to większa ilość ludzi fachowo do tego przygotowanych. Z kolei – postęp wiedzy jest możliwy dzięki temu, że poszczególne dziedziny coraz bardziej się wyodrębniają. I otóż antynomia polega na tym, że specjalizacja, rozwój nauki, wymaga rozdrobnienia badań, drażenia w głąb na coraz węższym odcinku, ale skuteczność tego działania wymaga rozszerzenia kompetencji. Czyli tendencji drażenia w głąb towarzyszy sprzeczna z nią pozornie tendencja do rozszerzania. Właśnie dzisiejsze pomysły organizacyjne, metodologiczne i prognostyczne zmierzają do tego, by z tej antynomii faktycznej uczynić antynomię pozorną, tzn. aby zarówno nauka drażąc, iść głębiej w zagadnienie, a równocześnie drogą współpracy, wymiany doświadczeń, metod i wreszcie tzw. aplikacji włączać w to coraz szersze kręgi ludzi. Dalej: uczestnictwo w wytworach materialnych i kulturowych typu umysłowego stawia przed poszczególnymi członkami społeczeństwa coraz to większe zadania. Trudno dziś społecznie funkcjonować nie mając przygotowania oczywiście różnego, ale i w różnych dziedzinach. Widzimy zjawisko, które nie występowało ongiś, że dajmy na to w służbach publicznych (np. wojsko czy straż pożarna), w różnych typach zajęć usługowych potrzebne jest bardzo wyspecjalizowane przygotowanie. Ale jest i taka obecnie sytuacja, że właściwie można bardzo wiele wiedzieć o świecie współczesnym (o pracach w ideologii, nauce, sztuce, literaturze, w obyczaju) nie czytając książek ponieważ rozwój prasy, różnorod-

ność środków masowego przekazu narzuca człowiekowi ogromną masę informacji. Wystarczy przejść ulicą wielkiego miasta, żeby odczytać dziesiątki i setki napisów, które informują o różnych rzeczach, a coś dopiero, gdy w domach mamy odbiorniki radiowe, aparaty telewizyjne... I okazuje się, że tak jak świat techniczny, z którym musimy się liczyć chodząc po ulicy i korzystając z wytworów wszelkiego rodzaju, tak też uczestnictwo w dobrach kultury staje się koniecznością.

Nie możemy już uciec na „łono przyrody” nie tylko dlatego, że tego łona coraz mniej, ale właśnie dlatego jest go coraz mniej, ponieważ te najbardziej pozytywne efekty cywilizacji docierają wszędzie. Z kolei trudno uciec od nadmiaru informacji kulturowych, ponieważ radio, telewizja upowszechniają je wszędzie. Jesteśmy więc przymuszeni do tego uczestnictwa: aby żyć normalnie musimy uczestniczyć i w jednym, i w drugim. Jest to jak gdyby tyrania cywilizacji i tyrania kultury, działanie pod przymusem, bo żyjemy w tym świecie. Ale z kolei chodzi o to, żeby ten przymus nie był przymusem negatywnym, tzn. aby był tak ustawiony, by odbiorca chciał i umiał wybierać, żeby umiał dostrzec wa-

lory pozytywne i negatywne, żeby nie kierował się tylko impulsami, odruchami czy też niesłusznym osobistym sądem. I dlatego ten przymus uczestnictwa w cywilizacji i kulturze narzuca z konieczności potrzebę działań, które nazywam humanizacyjnymi. To współuczestnictwo w całości tych spraw nakazuje uczynienie wszystkiego, ażeby było ono także sprawą świadomego wyboru, bo wówczas istnieją wysokie szanse, że zarówno kultura ulegnie modyfikacjom odpowiednio do potrzeb i celów danej grupy społecznej czy danych kompleksów narodowo-państwowych, jak też z kolei cały zespół wytworów typu technicznego, materialnego, licząc się z tym humanistycznym, ludzkim odbiorcą, będzie mógł tym zadaniom najlepiej sprostać.

Wypowiada się, zwłaszcza w środowisku humanistycznym, opinii, iż wykształcenie i działalność techniczna ukierunkowuje ludzi jednostronnie, natomiast w środowiskach ludzi techniki nierzadko wyśmiewa się „darmozjadów”, np. poetów współczesnych, komentatorów — powiedzmy — Leibniza...

Rzecz wymaga pewnej motywacji i wyjaśnienia. Człowiek uzbrojony w technikę jest nastawiony jak gdyby na jeden kierunek reakcji, człowiek przy-

sposobiony humanistycznie zakres swoich uzdolnień, możliwości akcji i reakcji bardziej uniwersalizuje, rozszerza. Otóż to zdanie bez komentarza mogłoby oznaczać, że z góry zakłada się jakąś niższość społeczną wytworów materialnych. A jeszcze dobitniej i brutalniej mówiąc, że nauki humanistyczne są czymś lepszym od nauk technicznych. Otóż intencja tej wypowiedzi jest zupełnie inna, bo zarówno jednostronnie uzbrojony jest humanista jak i niehumanista ograniczający się do jednej dziedziny badań. Rozumiemy to szerzej. Mianowicie: niehumanista jako badacz, nietechnik jako praktyk czy badacz, ale człowiek wykonujący pewne czynności, uzbrojony być musi w te właśnie humanistyczne sensy, tzn., że zarówno orientuje się w swojej dziedzinie, bo tego wymaga postęp praktyki codziennej, ale orientuje się szerzej w tym, co się poza nim dzieje, a co jeszcze najważniejsze: orientuje się w ludzkim sensie tych działań.

Jeśli mówimy, że humanizacja uniwersalizuje, to nie znaczy, że zakładamy, iż ktoś realizujący swoje zadania w dziedzinie technicznej winien mieć jak gdyby w zapasie (w plecaku, w kieszeni) pewną ilość wiedzy nietechnicznej. Nie o samą wiedzę chodzi, ale o wytworzenie pewnych postaw, pewnych możliwości odbiorów. Bo wtedy okazuje się, że właśnie to, co nazywamy w szerokim tego słowa znaczeniu kulturą, tkwi zarówno w humanistyce czystej wody, jak i w technice, bo przecież i humanistyka, i technika mają tylko inne narzędzia, bazują na innym materiale, ale to wszystko ma wspólny sens właśnie dzięki człowiekowi. Mówimy — nie ma wartości poza człowiekiem, przyroda tworzy różne rzeczy, ale człowiek stwarza świat wartości. Otóż z całą pewnością ten świat wartości winien dążyć do pewnego kompletu, zarówno zachowań typu fizycznego, jak i metafizycznego. A jeśli powiedzieliśmy, że te wytwory materialne bronią nas przed niebezpiecznymi zjawiskami przyrody, to z kolei te humanistyczne ułatwiają nam życie społeczne. Mówiono kiedyś, że etyka jest czymś jak oliwa, którą wlewa się w tryby maszyny, żeby nie zgrzytała, żeby mogła działać zgodnie ze swoim przeznaczeniem, żeby sama siebie nie zniszczyła. W podobny sposób działa etyka i system praw, to jest właśnie ta oliwa wytworzona przez człowieka, wylana na tryby maszyny społecznej. Dzisiaj to możemy rozszerzyć i powiedzieć, że nie tylko etyka czy system praw, ale cały humanizm, wszelkie wytwory typu kulturalnego poczynając od bardzo wysublimowanej sztuki a skończywszy na formach zachowania się osobistego, zmierzają do tego, aby usprawniać, łagodzić wszelkie tarcia w naturalny sposób występujące w mechanizmie typu społecznego. W tym wypadku kultura szeroko rozumiana (kultura pracy, zachowań się, wyrobów i wytworów) staje się jedną, wielką całością, która nie tylko pozwala na to, ażeby organizmy ludzkie mogły się w ogóle rozwijać, żeby się rozwijały prawidłowo i żeby poszczególne składniki, jednostki ludzkie mogły się w tym zespole czuć jak najlepiej. Bo przecież człowiek wytwarza dla człowieka i gdyby wytwarzał rzeczy, które miałyby się przeciwko niemu obrócić, z pewnością tego rodzaju wytwórczość chcielibyśmy wyeliminować czy przynajmniej ograniczyć.

Fot. K. ŁUKASIEWICZ



Rozmawiała: MARIA PLUTA

PARLAMENT NAUKI

Zwróciliśmy się do doc. dr Bogusława Kędzi z prośbą o podzielenie się impresjami z Konferencji Stowarzyszenia Rektorów i Prorektorów Uniwersytetów Europejskich, która odbyła w listopadzie ub. roku w Lizbonie.

Od kiedy mają miejsce takie spotkania i jakie poruszają problemy?

To nie przypadek, że nasza Politechnika stała się członkiem europejskiego stowarzyszenia, którego nazwa brzmi: Stawała Konferencja Rektorów i Wicekanclerzy Uniwersytetów Europejskich (wicekanclerz w uczelniach brytyjskich jest odpowiednikiem naszego rektora). Jest to stowarzyszenie, które powstało z inicjatywy UNESCO w połowie lat pięćdziesiątych. Jego zadaniem jest wymiana doświadczeń między uczelniami wyższymi różnego typu, i to zarówno w zakresie procesu dydaktycznego, systemów zarządzania szkołą wyższą, kształcenia kadr dla potrzeb społeczeństwa, jak i w zakresie realizacji rozwoju badań naukowych.

Poprzez różnego rodzaju formy działania, m.in. poprzez organizację konferencji, stowarzyszenie uzgadnia wiele spraw korzystając z bezpośrednich kontaktów kierowniczych kadr uniwersytetów. Poza tym wydaje własne publikacje i biuletyny informacyjne, rozsyłając je przede wszystkim między uczelnie członkowskie.

Jakim problemom poświęcona była konferencja w Lizbonie?

Konferencja w której uczestniczyłem była jedną z cyklu konferencji poświęconych zagadnieniom „edukacji ustawicznej”. Notabene jest to sformułowanie profesora Kotarbińskiego, znane w języku francuskim jako „education permanente”, w angielskim — „continuee education”.

Na konferencji omawiano problemy systemu edukacyjnego w uczelniach wyższych, profilu absolwenta i jego przydatności w okresie tak szybko wprowadzanych zmian w technice, technologii, w okresie tak burzliwego rozwoju badań naukowych. Problemy te interesują zarówno uniwersytety, instytucje przemysłowe jak też samych absolwentów.

Najbliższa konferencja, która odbędzie się w Amsterdamie, poświęcona zostanie zagadnieniu „uniwersytet a państwo”.

Jak to się stało, że Polska, a w tym Wrocław, weszły w skład stowarzyszenia rektorów i wicekanclerzy uniwersytetów europejskich?

Sekretarz generalny stowarzyszenia, pan Nicolier, urzędujący na stałe w Genewie, w ubiegłym roku akademickim odwiedził Polskę celem nawiązania kontaktów. Uniwersytety zachodnie bardzo interesują się bowiem doświadczeniami zdobytymi przez uniwersytety krajów socjalistycznych. W okresie lat sześćdziesiątych brakowało takich kontaktów z naszymi uczelniami. Wizyta pana Nicoliera w ośrodku wrocławskim zakończyła się propozycją wzięcia udziału w pracach stowarzyszenia. Aktualnie Polskę reprezentują: Politechnika Gdańska, Politechnika Śląska i Politechnika Wrocławska, Uniwersytet Warszawski i Uniwersytet Jagielloński. Ponadto Rektor Rybicki został zaproszony do referowania jednego z zagadnień na walnym zgromadzeniu, które odbędzie się jesienią w Bolonii.

Jakie są Pańskie refleksje z udziału w obradach?

Byłem zaskokowany. Wprawdzie Politechnika prezentowała tylko głos w dyskusji, ale być może w Amsterdamie przedstawi zagadnienia dotyczące tematu „uniwersytet a państwo”.

Konferencje organizowane są w ten sposób, że trójka rektorów z różnych uniwersytetów zapraszana jest do przedstawienia wybranych zagadnień. W Lizbonie prezentarami byli: rektor uniwersytetu ze Strasburga, który mówił o przygotowywaniu kadr dla potrzeb przemysłu, rektor uniwersytetu w Zurychu, który mówił — na temat „edukacji ustawicznej”, oraz wicekanclerz Open University (uniwersytetu otwartego w Anglii), który omawiał problemy szkolnictwa otwartego. My zabraliśmy głos na temat kształcenia kadr dla potrzeb przemysłu, i to kadr, które mają już za sobą doświadczenie zawodowe. Mówiliśmy o drugim stop-

niu szkolenia, o studiach dla pracujących, studiach podyplomowych i studiach wieczorowych. Byłem zaskoczony że problem ten, tak aktualny w Polsce, jest problemem całej Europy. Chodzi tu nie tylko o kształcenie nauczycieli, ale o kadrę inżynierską, pracującą w przemyśle, o kadrę ekonomistów itd.

W Polsce powojennej, kiedy startowaliśmy w sytuacji bez mała zerowej, istniała potrzeba szybkiego uzupełnienia kadry, stąd wąska specjalizacja w kształceniu. Dziś okazuje się, że pracująca kadra wymaga doksztalcenia, by sprostać wymaganiom stawianym przez przemysł. Nie sądziłem, że w krajach zachodnich zaistniała identyczna sytuacja, że zrobiły one ten sam błąd. U nas jednak wynikał on z konieczności, natomiast tam — raczej z oszczędności.

Wydaje się, że kwestia jakiegoś systemowego rozwiązania tej „ustawicznej edukacji” wymaga i wymagać będzie olbrzymich nakładów finansowych. W kraju socjalistycznym jest to problem łatwiejszy do rozwiązania, ponieważ decydują tu nie tylko pieniądze. W krajach zachodnich natomiast problem ten, tak intensywnie podnoszony przez uniwersytety, jest z miejsca atakowany przez przemysł i organizacje państwowe traktujące sprawę jako nierealną ze względu na wysokie koszty.

Ale i u nas ludzie, którzy podejmą dalsze studia, zrobią to kosztem życia prywatnego. Niezależnie od tego przemysł poniesie stratę związaną z wyłączeniem ich na dość długi okres z pracy.

Uważam, że trzeba modelować szkolenie kadr w taki sposób, aby „szkolenie ustawiczne” obejmowało tylko pewien procent, gdzieś w granicach 25% kadr kształconych na poziomie wyższym. Natomiast pozostałą część należy kształcić tak, ażeby każdy sam potrafił nadać za rozwojem nauki i techniki, a więc kształcić osobowości twórcze, myślące, nadążające za rozwojem życia. Wówczas nakłady finansowe, które państwo będzie musiało z tego tytułu ponieść ukazują się w trochę innym wymiarze.

Ustawiczne kształcenie wiąże się z rozwojem kadry nauczającej. Jak ten problem stawia się na szerokim gruncie, przecież ci, którzy szkołę, muszą iść znacznie szybciej do przodu. Jakże tutaj przewiduje się pociągnięcia, żeby tym problemem sprostać?

Po pierwsze, trudno stworzyć jakieś absolutne kryteria przydatności kadr profesorskich. Jeśli cofniemy się myślami wstecz, to w miarę rozwoju środowisk uczących, mówię o środowiskach akademickich, stawia się im coraz wyższe wymagania. Dziś wymaga się od tych ludzi twórczych osiągnięć, a nie twórczych aspiracji. W Politechnice Wrocławskiej rekrutacja młodzieży naukowej do kadry naukowo-dydaktycznej będzie miała miejsce dopiero po studiach doktoranckich.

Rozmawiała: STANISŁAWA SZULC

KROK KU NOWOCZESNEJ DYDAKTYCE

O d kilku miesięcy studenci V r. Elektroniki studiujący w Instytucie Cybernetyki Technicznej są świadkami i uczestnikami eksperymentu, jaki został wprowadzony na ich zajęciach specjalizacyjnych przez Zakład Urządzeń Automatyki. Rzecz dotyczy przedmiotu „Projektowanie urządzeń automatyki” realizowanego w formie wykładu, ćwiczeń i teoretycznego projektu. Zaznajamianie się z zasadami projektowania urządzeń automatyki odbywa się nie — jak do tej pory — wyłącznie przez przekazywanie informacji teoretycznych, ale też przez ich praktyczną realizację. Przyjęto założenie, że w oparciu o nowoczesny materiał wykładowy studenci otrzymują tematy projektów wybranych urządzeń, z obowiązkiem ich wykonania zarówno w postaci dokumentacji technicznej, jak również w postaci działającego i sprawdzonego urządzenia.

Jakie są z tego korzyści? — chyba najlepiej odwołać się do opinii samych studentów:

— Uważam, że nowy sposób prowadzenia zajęć jest bardzo ciekawy, pouczający i godny kontynuowania. Możliwość praktycznej realizacji projektowanych urządzeń czyni sam proces obliczeń bardziej atrakcyjnym (nie jest to już odwalanie obowiązku zadania)... Popelniane przy projektowaniu błędy ujawniają się natychmiast przy pomiarach, a co najważniejsze, zapamiętuje się je bardzo skutecznie. Poza tym wielu studentom ten typ ćwiczeń pozwala po raz pierwszy zapoznać się z montażem i elementami elektronicznymi.

— Nowa forma zajęć będąca wprowadzeniem zajęć praktycznych na ćwiczeniach w połączeniu z nowoczesną teorią, jest chyba najlepszą formą kształcenia studentów... Można żałować tylko, że forma ta nie została wprowadzona dużo wcześniej...

— Uważam za słuszną pojawienie się tego przedmiotu na V roku studiów, w sytuacji gdy przez pierwsze 4 lata nic podobnego nie miało miejsca. Sądzę, że należy się duże uznanie autorom programu tego przedmiotu. Dobór tematów uważam za optymalny... Sposób prowadzenia zajęć — dotychczas nie spotykany — daje bardzo duże korzyści

Przytoczone wypowiedzi studentów — uczestników eksperymentu, jednoznacznie potwierdzają słusność przyjętej koncepcji nauczania. Ale zanim przyszły efekty, sprawa uruchomienia zajęć praktycznych długo stała pod znakiem zapytania. Jak zwykle wszystko rozbiło się o sprawy finansowe. Organizacja pracowni wymagała dużego nakładu kosztów, wyposażenia w drogą aparaturę i liczne podzespoły elektroniczne. Okazuje się jednak, że nie ma rzeczy niemożliwych.

Doc. dr Ludwik Żebrowski — kierownik Zakładu Urządzeń Automatyki, wspólnie z mgr inż. Andrzejem Jabłońskim i mgr inż. Stefanem Wasilewskim prowadzącymi przedmiot, znaleźli sposób na „trudności obiektywne”. Nakładem własnych środków i pracy zorganizowali stanowiska wyposażone w niezbędne narzędzia i przyrządy pomiarowe. Przygotowano zapas elementów i podzespołów elektronicznych, często wtórnie wykorzystywanych, z których studenci wykonywali zaprojektowane przez siebie urządzenia, i w ten sposób sprawa praktycznej realizacji projektów stała się realna.

Profil specjalizacji, jaką prowadzi Zakład Urządzeń Automatyki, ma charakter teoretyczno-praktyczny i dotyczy zagadnień aplikacyjnych w kompleksowych i konwencjonalnych układach automatyki. Ostatnie lata cechuje wielka dynamika rozwoju tej dziedziny. Opanowanie nowych technologii (układy scalone, tyrystory) stwarza olbrzymie możliwości otrzymywania nowych rozwiązań układowych, bardziej niezawodnych i dokładniejszych w swym działaniu. Przemysł krajowy jest nastawiony

na wdrażanie systemów automatycznego sterowania we wszystkich swoich gałęziach. Fakt ten musi znaleźć odbicie w wiedzy i umiejętnościach przyszłych absolwentów. Od specjalistów, obok systemowego podejścia do urządzeń automatyki, wymaga się dobrej znajomości podstawowych elementów składowych systemu sterowania, sposobu ich projektowania i wykonania. Aby móc dobrze kształcić, trzeba sprawić żeby zdawali sobie sprawę z tego, jak wyglądają poszczególne podzespoły elektroniczne, umieli wyobrazić sobie zaprojektowany przez siebie układ. Realizowany program wykładu zawiera również metody nowoczesnego projektowania wykorzystujące metody symulacji i modelowania, wykorzystujące maszyny cyfrowe i analogowe. Przy przygotowaniu wykładów i ćwiczeń bazuje się na nowoczesnych katalogach wielu znanych firm światowych (Kent, Foxboro, Yokogawa, Siemens) i na osiągnięciach krajowego przemysłu elektronicznego. Zaznajamia się studentów z nowoczesnymi systemami aparatury sterowania automatycznego produkcji krajowej i zagranicznej. Realizacja programu obejmuje ponadto przegląd metod projektowania wykorzystujących analogowe i cyfrowe układy scalone.

W następnym roku plany prowadzących przedmiot sięgają jeszcze dalej. Zamierzają oni wprowadzić, obok dotychczasowej formy zajęć, pracę z maszyną cyfrową, a ściślej mówiąc — wykonywanie obliczeń projektowych przy użyciu końcówki systemu WASC, pracującej w Instytucie Cybernetyki Technicznej. Będzie to kolejny krok do nauki projektowania urządzeń przy pomocy techniki obliczeniowej.

Z satysfakcją odnotowujemy więc, że wyrasta nowe pokolenie automatyków, którego dewizą jest nowoczesność i że w Politechnice Wrocławskiej pracują ludzie, dla których nie ma rzeczy niemożliwych i niewykonalnych.

DOR

NASZA PANI TOSIA



Pani Antonina ADAMCZYK jest pracowniczką Politechniki Wrocławskiej od dziesięciu lat. Przez cały czas związana jest z budynkiem B-6 oraz Działem Administracyjno-Gospodarczym. Panią Tosię, bo tak ją popularnie nazywają, spotykam właśnie w momencie, kiedy opuszcza swoje stanowisko pracy, a przecież dopiero zaczyna się normalny dzień pracy. Tak, dzień dla pani Tosi rozpoczyna się z reguły około 3-4-ej nad ranem! Najpierw dom, a potem... zaczyna się sprzątanie hali Inżynierii Chemicznej, pokoiów pracowniczych, warsztatów, korytarzy, palenie w piecach w Dziale Administracyjno-Gospodarczym itd., itd. Pracy ma więc sporo. Najczęściej z czystością żyje się nam dobrze, ale gdy zaczyna nam jej brakować, wtedy jedno jest pewne..., Chyba nie ma dziś pani Tosi”.

Dr Stanisław Filip od wielu lat pracujący w Hali Inżynierii Chemicznej z ogromnym uznaniem wyraża się o pracy Pani Adamczyk. Dowiadując się z relacji Pana Doktora (na marginesie

trzeba podkreślić wielką skromność Pani Tosi), że wielokrotnie widziano Jej męża wraz z córką (kończy w tym roku Uniwersytet) jak pomagali „mamie” w pracy! Co to znaczy dobre wychowanie!

Poza pracą, dla pani Antoniny najważniejszy jest dom. Stąd niewiele czasu pozostawia dla siebie. Urlopu z prawdziwego zdarzenia też nie ma czasu spędzić. Zawsze znajduje się przecież sprawa pilniejsza, ważniejsza a więc... mąż, dzieci! Marzeniem Pani Antoniny jest piękne nowe mieszkanie. Stare i ciasne — nie zaspokaja potrzeb czteroosobowej rodziny. Może najbliższe lata przyniosą poprawę sytuacji?

Gdy spytałem w Dziale Administracyjno-Gospodarczym o panią Antoninę, zapytani wyrażali się o „swojej pani Tosi” i jej pracy w samych superlatywach. No, bo jakże inaczej mówić o człowieku, którego dewizą życiową jest sumienność w wykonywaniu swoich obowiązków?!

Ratujmy klub!

Już od dłuższego czasu noszę się z zamiarem napisania o Klubie w Gmachu Głównym, ponieważ od dawna, z prawdziwym niepokojem obserwuję jak ten miły i drogi sercu każdego przybytek powoli traci swój dawny charakter i — zwłaszcza wieczorami — przybiera oblicze czegoś w rodzaju przeludnionej spelunki. Długo zwlekałem, aby nie robić przykrości miłym paniom, które w żadnym stopniu nie są odpowiedzialne za obecny stan rzeczy, a wręcz przeciwnie — robią wszystko, aby zapobiec katastrofie. Ale kiedy pewnego wieczoru, gdy nie wadząc nikomu spożywałem na stojąco rybę po grecku, studentka będąca w stanie silnego upojenia alkoholem wyludziła ode mnie pudełko zapalek, postanowiłem zareagować.

Moji drodzy bracia duchowi! Wszyscy Ci, którym cicha przystań Klubowa jest ciągle miła! Trzeba uderzyć na alarm, bo to, co jeszcze wczoraj było nasze, jutro może już stanowić naszą własność tylko formalnie!

Choć nie mam bynajmniej nerwów ze stali (o czym mogą poświadczyć przyjaciele, a jeszcze rychlej — wrogowie) mogę, jako pracownik Politechniki znieść jako tako to, że student w moim tj. pracowniczym Klubie wyżera mi ostatnie ciasteczko, że muszę z braku miejsca wypijać swoją poobiednią kawę na stojąco, że w porze atrakcyjniejszego meczu muszę walczyć o krzeselko z tłumem studentów, którzy powinni być w tym czasie na zajęciach. Mogę, jednak tylko do pewnych granic. Klub, jak o tym powiadamia wywieszka na drzwiach, jest Klubem Pracownika. Obecność studentów, którzy odwiedzają ten przybytek można by w ostateczności tolerować (bądź co bądź szcycimy się równością i demokracją), gdyby pojawiali się w Klubie na zasadzie gości. Tymczasem nie do zniesienia jest już taki stan rzeczy, kiedy, zwłaszcza w godzinach popołudniowych, czują się oni tam w roli absolutnych gospodarzy, narzucając swoje, nie zawsze do przyjęcia w naszym naukowym i pozanaukowym świecie — obyczaje. Każdy pracownik czuje się wtedy w Klubie, chcąc nie chcąc, jako intruz zerbrzący o swoje wymaginowane prawa.

Nikt chyba, komu Klub jest drogi, nie życzyłby sobie, aby stało się z nim to, co ze stołówką. A takie niebezpieczeństwo realnie istnieje i trzeba zebrać siły i rozpocząć działania zaradcze. W końcu równość ma też swoje granice wyznaczone chociażby zdrowym rozsądkiem.

Klub miał służyć przede wszystkim pracownikom. Tym, którzy pragną odpocząć po wyczerpującej pracy umysłowej, spędzając wolny czas na grze w szachy czy karty, na lekturze czasopism. Klub miał być miejscem, gdzie mogliby w ciszy i spokoju wypić kawę w czasie przerwy w popołudniowych zajęciach. Jeszcze nie tak dawno lu-

biłem przed wieczornymi zajęciami siadać przy herbatce, aby w atmosferze ciszy zastanowić się i skupić nad planem ćwiczeń czy wykładów. Teraz już tak nie czynię. Wolę już hałas w swojej pracowni.

Klub niestety nie może być równocześnie pomieszczeniem rekreacyjnym dla pracowników, poczekalnią i kawiarnią dla studentów, szatnią (!), pomieszczeniem na bankiety itp. Prus pisał kiedyś o polskich inżynierach, którzy zbudowali urządzenie mogące spełniać równocześnie rolę komfortowego łóżka, fortepianu o wspaniałe brzmiącym dźwięku i szybkostrzelnego karabinu. Jak się łatwo można domyślić, konstrukcja ta nie spełniała żadnej z przewidzianych dlań funkcji należycie, tzn. na łóżku nie można było spać, na fortepianie grać, a z karabinu oddać choćby jednego strzału. I podobnie może stać się z naszym Klubem, jeżeli nie poczyni się odpowiednich kroków. Wszystko wskazuje na to, że niestety, trzeba będzie z czegoś zrezygnować.

Sprawa uruchomienia klubu studenckiego od lat nie może ruszyć z miejsca. Czy studenci naszej Politechniki nie mogliby, zamiast czekać jak tatko latka, uruchomić w czynie społecznym

swojego klubu? Czyżby brakowało młodzieńczej werwy? Sądzę, że kategorycznie i z całą stanowczością egzekwowany zakaz wstępu studentów do Klubu miałby swoją dobrą stronę; przybliżyłby w znacznym stopniu termin otwarcia Klubu studenckiego.

Kiedy powstanie już klub studencki, sam zainicjuję przyjazną współpracę i zawiązanie więzów braterstwa. Tylko, że jest to możliwe jedynie w ramach dwóch oddzielnych pomieszczeń.

Myślę także, że czas już najwyższy, aby odpowiednie czynniki wkroczyły do akcji. Być może znajdą one jakieś inne rozwiązanie. Wprawdzie administracja, podobnie jak struś, co chowa łebek w piach, ma w zwyczaju w sytuacjach bardziej konfliktowych chować się za stertę zarządzeń i rozporządzeń, teraz jednak powinna zmienić taktykę, bo przecież bądź co bądź jest to także i jej klub. Trzeba pamiętać jednak o tym, że nie można wszystkimi prewencyjnymi zarządzeniami obarczać pań obsługujących Klub. Nie będą one przecież np. sprawdzać legitymacji, zwracać studentom uwagi, że płaszcze zostawia się w szatni, a nie zwala na fotele, że po sobie się sprząta, odstawiając stoliki i fotele na swoje miejsce, a naczynia odnosi się do okienek, że kiedy popielniczka jest pełna (a może wypełnić się bardzo szybko, wystarczy wrzucić tylko dwa woreczki po herbatcie ekspresowej), należy wypróżnić ją do kubelka stojącego w kącie, a nie rozsypywać popiół i niedopalki po talerzykach i stolikach. Nie można obarczać pań odpowiedzialnością za bardziej poczytne czasopisma, które w dziwny i pozornie tajemniczy sposób znikają na zawsze z Klubu. Trudno zwracać na każdym kroku uwagę studentom, którzy na ogół (smutna to jest prawda) nie starają się zachować obyczajów panujących w Klubie od lat, a usiłują narzucić swoje, których tolerować nikt z pracowników nie ma ochoty. A ponieważ jest to Klub pracowniczy, pracownicy mają pełne prawo jej nie mieć. Mają pełne prawo czuć się swobodnie, z dala od niewątpliwie miłych studentów. Mają pełne prawo wymagać, aby Klub był znowu oazą ciszy i spokoju. Każdy przecież człowiek odczuwa od czasu do czasu potrzebę „pobycia” chociaż przez chwilę w ciszy i samotności. Aby chociażby podlubać sobie w nosie, kiedy mu przyjdzie na to ochota.

PEPE

Fot. K. LUKASIEWICZ



COŚ Z ŻYCIA

W związku z wątpliwościami wielu Czytelników dotyczącymi materiału „Coś z życia” („Sigma” nr 3/53 str. 5) informujemy, że był to przedruk autentycznego podania. Opublikowanie tego podania związane było z jego niecodzienną stylistyką i walorami humorystycznymi. Należy sądzić, że wiele innych zapożyczonych talentów literackich kryje się jeszcze na Uczelni.

Redakcja

Przedstawiamy dzisiaj ostatni z sześciu wielkich programów zapoczątkowanych na uczelni w 1972 r., nazwany „Prognozy”. Jest on poświęcony, najogólniej biorąc, opracowaniu systemu prognozowania rozwoju nauki i techniki, jednocześnie zaś — stworzeniu uporządkowanej struktury pojęciowej i metodologicznej w tym zakresie.

przyszłości

PRZEPROWADZANIE

niki. Pozwala ono na zapobieganie powstawaniu obszarów kolizji i niedoborów w skali społecznej, rozpoznając potencjalne luki i na tej podstawie proponując zadania pod adresem nauki i techniki.

Badania podjęte w ramach programu „Prognozy” mają doprowadzić do doskonalenia metod prognozowania oraz do wyboru i adaptacji tych metod do krajowych warunków i potrzeb. Wynika z nich określona tematyka badań, na którą składają się przede wszystkim:

- prace nad udoskonaleniem metod prognozowania i planowania rozwoju nauki i techniki, a także nad ich dostosowaniem do potrzeb aktualnych oraz przyszłych warunków krajowych,
- opracowanie systemu prognozowania oraz sposobu optymalnego wykorzystania prognoz w zarządzaniu,
- opracowanie prognoz rozwoju niektórych wybranych dziedzin techniki w Polsce do 1990 r.

W ramach pierwszego z wymienionych problemów prowadzone są prace nad nową metodą prognozowania rozwoju nauki i techniki, opartą na tzw. „modelowaniu struktury potrzeb”. Rozwijane także będą prace nad metodami prognozowania rozwoju układów i procesów technicznych oraz badania z zakresu metodyki prognozowania rozwoju zintegrowanych systemów ekonomicznych. Przewiduje się położenie szczególnego nacisku na adaptację dla potrzeb Politechniki Wrocławskiej metod prognozowania opartych na badaniu opinii ekspertów. W związku z tym, niezbędnym elementem tej części programu stały się badania socjopsychologiczne w środowisku ekspertów.

Osobny, związany z powyższymi badaniami temat w problematyce metodologicznej stanowią zagadnienia terminologiczne. Prace w ramach programu „Prognozy” mają umożliwić opracowanie projektu polskiej terminologii i systematyki pojęć w dziedzinie prognozowania nauki i techniki. Przewiduje się także rozwinięcie prac nad matematyczną teorią syntezy prognoz w oparciu o modele obiektów prognozowania. Teoria ta może stworzyć podstawy do algorytmizacji części prac prognostycznych oraz ciągłej aktualizacji danych prognostycznych.

Drugi problem badawczy, dotyczący systemu prognozowania, wynika z praktycznych potrzeb i wiąże się z zagadnieniami, dającymi się w skrócie przedstawić w postaci „prognoza — strategia — plan”. Tematyka ta jest dotychczas rozeznana tylko częściowo. Wymagać ona będzie udziału specjalistów reprezentujących szereg dziedzin: organizację i zarządzanie, teorię systemów, ekonomikę, naukoznawstwo, matematykę i informatykę. W pierwszym etapie realizuje się badanie związków pomiędzy prognozowaniem

naukowo-technicznym a planowaniem badań naukowych oraz sformułowanie założeń dla systemu informacyjnego prognoz naukowo-technicznych. Dodatkowo pojawiła się potrzeba poszerzenia tej problematyki w związku ze zgłoszonym ostatnio ze strony organów państwowych zainteresowaniem skierowanym na opracowanie zintegrowanego systemu prognoz dla potrzeb zarządzania gospodarką.

Trzeci problem badawczy poświęcony jest głównie zagadnieniom związanym z wdrożeniem niektórych metod do opracowywania prognoz gałęziowych lub przekrojowych. Tematyka tych prognoz dotyczy przede wszystkim tych dziedzin techniki, z którymi najsilniej związana jest nasza Uczelnia. Jako przykład prognozy gałęziowej może służyć prognoza rozwoju materiałów konstrukcyjnych, a jako przykład prognozy przekrojowej — prognoza rozwoju placówek zaplecza naukowo-badawczego i rozwojowego. W ramach tego problemu kontynuowane będą także opracowania prognoz rozwoju techniki na Dolnym Śląsku, przydatne do planowania i organizowania badań oraz współpracy Politechniki Wrocławskiej z gospodarką regionu.

Wszystkie wymienione problemy badawcze opracowywane są w taki sposób, by w pierwszej kolejności zostały sformułowane te wnioski z nich płynące, które „od zaraz” dadzą się zastosować w praktyce sterowania działalnością naukową w Politechnice Wrocławskiej. Umożliwi to, prócz doraźnych korzyści, sprawdzenie prawdziwości wypracowanych rozwiązań w skali niejako poligonowej, przed przekazaniem do szerszego wdrożenia.

Na podstawie materiału
z Pionu Nauki opracował:

JANUSZ M. PAWLIKOWSKI

Fraszki

*Nic dwa razy się nie zdarza,
choć... wszystko się powtarza.*

★

*Czym chata bogata,
tym... lata.*

★

*Spędza sen z powiek,
człowiekowi — człowiek.*

★

*Platforma porozumienia:
— nie mieć nic do powiedzenia.*

★

*Coraz trudniej sobie sprostać,
gdy wyrasta się na postać.*

Aktualnie znany jest szereg metod prognozowania. Ponieważ jednak nie wszystkie one mogą znaleźć zastosowanie przy opracowywaniu prognoz w nauce i technice, w ramach programu „Prognozy” poddaje się je weryfikacji. Jednocześnie prowadzone są prace o charakterze metodologicznym — poświęcone m.in. opracowywaniu skutecznych metod prognozowania w nauce.

Specyficzną cechą tematyki badań poświęconej prognozowaniu jest jej silne powiązanie praktycznie z wszystkimi dziedzinami nauki. Trzeba przy tym pamiętać, że zarówno cząstkowe prognozy rozwoju nauki, jak też i cały system opracowywania prognoz stanowią część nadrzędnego systemu zarządzania, tak w sferze kierowania badaniami naukowymi, jak i w sferze całej gospodarki. Stąd dodatkowa konieczność trwałego kontaktu i współpracy z instytucjami zarządzającymi.

W ostatnich latach nastąpił w świecie burzliwy rozwój metodologii prognozowania nauki i techniki. Już w chwili obecnej potrafi ono zapewnić uzyskanie wyprzedzającej informacji o najbardziej prawdopodobnych zdarzeniach bądź przynajmniej o tendencjach przebiegu zjawisk w rozwoju nauki i techniki.

Szczególne znaczenie posiada prognozowanie tzw. średniookresowe, tzn. takie, które swym zasięgiem obejmuje około 15 do 20 lat.

W zakresie metodologii duże znaczenie ma aktualnie tzw. modelowanie dynamiczne, zakładające kompleksowo analizę potrzeb społeczeństwa w konfrontacji z tendencjami rozwoju tech-

KADROWE PROBLEMY

Zbigniew Sztuba

Wielkim problemem polskiej gospodarki jest płynność i niestabilność kadr. Zajmują się tym problemem publicyści, badają go socjologowie. Niektórzy przeliczają straty wynikłe z tego powodu na wymierne kwoty pieniężne.

Szkoła Wyższa jest nie tylko miejscem dojrzewania intelektualnego, zawodowego i naukowego studentów, jest również z gospodarczego punktu widzenia — normalnym zakładem pracy, innym niż wielkie zakłady przemysłowe jak np. Pafawag czy Dolmel, ale obciążonym wszystkimi typowymi dla zakładu zatrudniającego kilka tysięcy ludzi — problemami.

Politechnika Wrocławska jest więc jednym z większych zakładów pracy Dolnego Śląska, ma swój dział osobowy i swoje problemy personalne. Jak w niej przedstawia się problem rotacji kadr? Oto garść informacji na ten temat. (Z góry zastrzegam się, że nie zamierzam wyciągać w niniejszym artykule żadnych poważniejszych wniosków, nie zamierzam dawać recept na to, żeby rotacja kadr była większa czy mniejsza. Będzie on miał raczej charakter informacyjny).

Z zeszytu zwolnień pracowników, jaki prowadzi się w naszym Dziale Osobowym wynika, że w okresie od 1 stycznia do 7 listopada ubiegłego roku (nie licząc sezonowych pracowników zimowiska) zaprzestano pracy w Politechnice 527 osób, w tym 162 kobiety, 365 mężczyzn. A więc mężczyźni zwalniali się o wiele częściej niż kobiety! W liczbie tej jest kilkanaście osób, które przeszły w tym okresie na rentę, czy emeryturę.

W rejestrze zwolnionych wymienieni są tzw. pracownicy fizyczni, sprzątaczk, kierowcy, z-cy kierowników, księgowi, palacze, rzecznicy patentowi, technolodzy, ślusarze, radca prawny, doktoranci, asystenci itp. — nie doszukałem się natomiast ani jednego docenta czy profesora. W ogóle można stwierdzić, że pracownicy naukowo-dydaktyczni odchodzą o wiele rzadziej. W wyżej wymienionej grupie znalazło się tylko 3 asystentów stażystów, 14 asystentów, 10 starszych asystentów, 4 doktorantów, 2 adiunktów, 1 wykładowca. Razem 34 naukowców, czyli zaledwie 6% wszystkich odchodzących z Uczelni.

Osoba znacznie lepiej ode mnie znająca się na tych sprawach powiedziała, że na razie trudno mówić o jakiegokolwiek stabilizacji kadr, gdyż powyższe cyfry nie ujmują przepływu kadry naukowej pomiędzy poszczególnymi Instytutami i Zakładami Naukowymi.

Jak się zorientowałem, odchodzili pracownicy z rozmaitych komórek: z Zakładu Remontowo-Budowlanego, z Administracji Centralnej, z Ośrodka Wypoczynkowego, z Transportu, z Archiwum, z Centrum Obliczeniowego itd. Rotacja nie ominęła w tym okresie również Działu Osobowego (2 zwolnienia), ani Studium Wojskowego. Nie doszukałem się natomiast w zeszycie zwolnień nikogo z Instytutu Matematyki i Fizyki Teoretycznej, oraz z Filii w Wałbrzychu.

Pod względem ilości zwolnionych pracowników przoduje bezkonkurencyjnie... Przedszkole. „Wyrotowało” tam

w ciągu 10 miesięcy 36% załogi! Druge miejsce zdobywa Zespół Domów Studenckich (26%), a trzecie ex equo Zakład Graficzny i Filia Kłodzka — 25%.

Odowiedziałem kolejno Przedszkole, kierowniczkę Domów Studenckich i Zakład Graficzny. Zapytałem: „Dlaczego właśnie u Was odchodzi tyle osób?”

Dyrektorka Przedszkola, p. A. Bogdał powiedziała:

— *Taki wysoki procent dotyczy tylko pracowników fizycznych, tylko oni widnieją w ewidencji Działu Osobowego. Poza tym pracuje u nas 7 nauczycieli (podlegają oni Wydziałowi Oświaty). Jest to kadra stabilna.*

— Ale mnie interesują te osoby, które podlegają Politechnice. Tu procent zwolnionych jest najwyższy w całej Uczelni.

— *To były młode osoby, niedoświadczone, nie znające się absolutnie na pracy w przedszkolu. A w kuchni mieliśmy jedną taką panią, co to urzędowała pod dworcem...*

Kierowniczka Zespołu Domów Studenckich p. mgr H. Osińska:

— *Tak wysoka rotacja dotyczyła głównie pań sprząających. Przyczyną były niskie płace i mniej przyjemna praca w akademikach niż np. w biurach. Poza tym obserwuję sezonowe odejścia pań sprząających do pracy na roli i w ogrodnictwie. — W tej chwili (w listopadzie 73 r. — przyp. Z.S.) obserwujemy spadek ilości zwalnających się.*

W Zakładzie Graficznym usłyszałem co następuje:

— *Taki wysoki procent odejść spowodowany jest brakiem specjalistów na rynku poligraficznym. Przyjmujemy do pracy pracowników na okres zamknięty. W tym czasie staramy się ich przycucić do zawodu. Kto nie potrafi — musi odejść.*

Dalsze miejsca w „procentowym wskaźniku zwolnień” zajmują: Zakład Remontowo-Budowlany (23), Transport i Filia Legnicka (po 22).

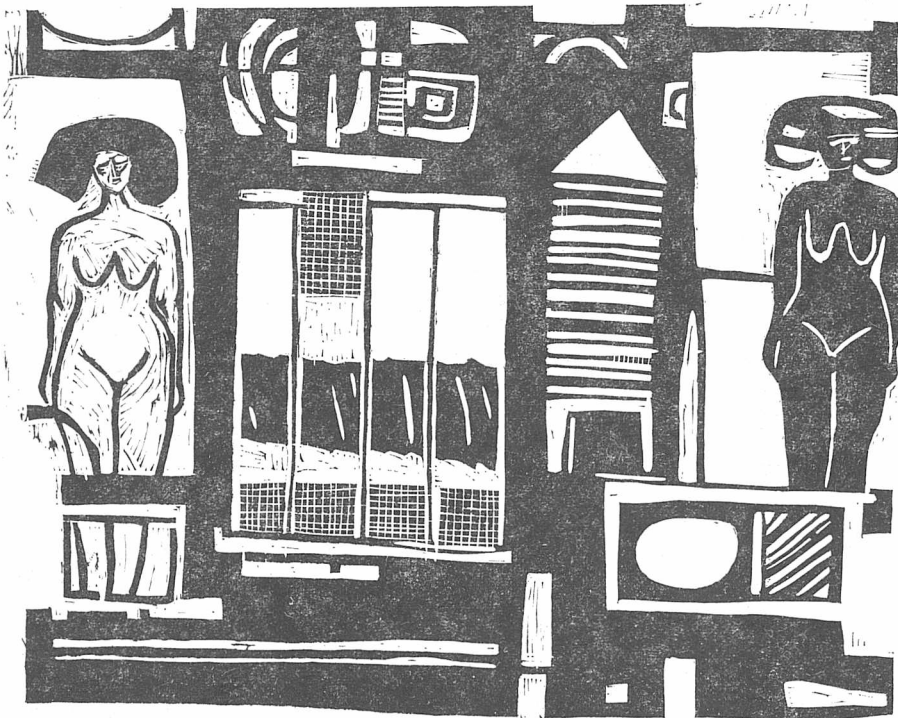
A Instytuty? Stanowią one trzon naukowo-dydaktyczny Szkół. Rotacja jest w nich mniejsza — średnio wynosi 7%. Najwięcej zwolnionych „ma na sumieniu” Instytut Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn, ale w „procentowym wskaźniku” przodował Instytut Metrologii Elektrycznej (14%) przed Instytutem Górniczym i Instytutami: Budownictwa, Podstaw Elektrotechniki i Elektrotechnologii, oraz Technologii Organicznej i Tworzyw Sztucznych — po 11%. Jak już napisałem, w analizowanym okresie nikt nie zwolnił się z Instytutu Matematyki i Fizyki Teoretycznej, 2% zwolniło się z Instytutu Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych, a po 3% z Instytutów: Chemii Organicznej i Fizycznej, Techniki Ciepłej i Mechaniki Płynów, oraz Nauk Społecznych. Czy można tu doszukać się jakiś reguł?

Dowiedziałem się w Dziale Osobowym, że zwalniali się głównie ludzie młodzi — część młodych mężczyzn odchodzi po prostu do wojska. Rotacja, praktycznie rzecz biorąc, nie istnieje wśród pracowników ze stażem ponad dziesięcioletnim.

Jeden z fachowców od spraw kadrowych powiedział mi, że 10% zwolnień w ciągu 10 miesięcy, to mało. Podobno istnieją takie zakłady pracy — i nie trzeba ich szukać wcale daleko — gdzie rocznie odchodzi do 50% załogi.

Magiczny ogród, 1969 Linoryt

A. BERENT



Tym razem, zamiast — jak zwykle — wspomnień pracowników Politechniki, zamieszczamy fragment nowej powieści Edwarda Kurowskiego pt. „Stalowe serca”. Akcja toczy się we Wrocławiu w pierwszych latach po wojnie.

Stalowe serca

Dworzec kolejowy roi się tłumem zdemobilizowanych żołnierzy w wojskowych płaszczach bez pasów, bez dystynkcji, płynie tobołkami przepychających się kobiet, biegnących dzieci, tonie w megafonowym huku polskich i radzieckich pieśni wojennych.

Przed dworcem — wielkie białe napisy na czerwonych płótnach witają przybyłych do odzyskanego Wrocławia ludzi, zapraszają do pracy przy odbudowie zniszczonego wojną miasta, do rozpoczynających produkcję fabryk, a szczególnie — do olbrzymiej Linke-Hoffmann-Werke.

Wsiadłszy wczoraj wieczorem do pociągu w Warszawie, nie byłem pewien, czy dobrze robię. Przyjaciele odradzali mi wyjazd na zachód, ale ja nie chciałem być w mieście, w którym zginęli wszyscy moi najbliżsi, wydawało mi się, że będę deptał rodzinne groby.

Skreśliłem papierosa z gruzińskiej machorki. Zapaliłem, a dym uchodził przez wybitą szybę. Na twardej ławce siedział nas po jednej stronie pięciu i tyleż po drugiej, a w środku — jeszcze trzy osoby na pakunkach.

Pomimo tłoku w przedziale było wesoło. Siedzący pośrodku mężczyzna w podartej marynarce częstował wszystkich złotym bimbrem, a ja dzieliłem machorką. Dziewczyna w butach z cholewami miała słoninę, z której odkrawała po kawałku i częstowała nas. Z rozmowy, jaką prowadzili, dowiedziałem się, że wszyscy oni zajmują się handlem, którego nauczyl się za okupacji. Na zachód wożą słoninę, rąbanek i wódkę. Stamtąd — ubrania, bieliznę. Dziewczyna, którą nazywano „panną Zosią”, podpisując sobie śpiewała „Warszawo, ty moja Warszawo” i powtarzała, że trzeba umieć żyć. Kto tego nie umie, sam sobie winien. Zastanawiałem się, czy nie dołączyć się do nich, zapewniali mnie, że z nimi nie zginę. Ale kiedy wśród nich zaoranych pól zarysowały się kontury spalonych domów Oleśnicy, zwały gruzów Psiego Pola i szkielety murów Wrocławia, zapytałem: „co stąd jeszcze można wywieźć?”

— Można dużo — odpowiadali mi. — W wypalonych murach są jeszcze nietknięte mieszkania z meblami, naczyniami kuchennymi...

— Wśród gruzów nawet cały dom można znaleźć. A w domach szafy, na ścianach tapety, na fotelach skórzane obicia. Wszystko to dziś majątek.

— Coś pan, panie — dodała dziewczyna wskazując na mnie palcem — będziesz niemieckich mebli żałował?...

— Co się nie da zabrać — dodał siedzący przy oknie — ramię i pałę w piecu. Za moją krzywdę!

— Nie tylko pan jest pokrzywdzony — odpowiedziałem. — A Niemcy nie wszyscy byli jednakowi.

— Niech pan nas tu nie uświadamia, dobrze?...

— Nigdy nie uwierzę Niemcowi, choćby nie wiem co mówił — dodał starszy mężczyzna w wojskowej bluzie bez namamienników. — Jak zobaczyłem w Kluczborku jeńców niemieckich, nie wytrzymałem. Podbiegłem i dałem w mordę temu, co był najbardziej podobny do tamtego, który mi zastrzelił brata... ale nasi strażnicy zaraz mnie odciągnęli i jeszcze chcieli do aresztu... a gdybym go zabił, tobym siedział...

— Wojna się skończyła — mruknąłem — a ich będą sądzić.

— Dla mnie wojna się jeszcze nie skończyła. I będzie trwała tak długo, jak długo będę widział gruz Warszawy i grób mojego brata. Zośka, daj mi jeszcze wódki, bo mnie szlag trafi. Ty chłopce widocznie okupację żeś za piecem przesiedział, to masz teraz taki pogląd, że prawo... Chodź ze mną, to ci pokażę — zerwał się na nogi, wypił wódkę z kubka, którą podała mu dziewczyna — walę do mieszkania pierwszych lepszych Niemców, zapędzam wszystkich do łazienki, a sam zabieram do walizki co mi się podoba. A resztę łamie... a jak mi mówią, że szkoda, to im odpowiadam: „a coście zrobili z moim mieszkaniem w Warszawie?... nie było szkoda? miałem mieszkanie i ładne meble...”

Kiedy pociąg się zatrzymał i zobaczyłem napis „Wrocław-Nadodrze”, szybko wyskoczyłem na peron nie żegnając się z tamtymi. Stoję oto przed tablicą „Linke-Hoffmann-Werke” i nie wiem, co to jest. Ja mam skierowanie do fabryki wagonów. Chodzę po przeddworcowym placu, na próżno py-



tam o nią napotykanym Polaków. Nie wiedzą. Proponują mi natomiast kupno wódki, biżuterii. Pytają, po co mi ta fabryka, a kiedy mówię im prawdę, odpowiadają „nie bądź frajer”.

Zobaczyłem Niemca, który niosąc worek na plecach uklonił mi się. Nie wiedziałem z początku, że to Niemiec, nie zwróciłem uwagi na białą opaskę na jego rękawie. Zapytałem szukając w pamięci niemieckich słów, gdzie jest poszukiwana przeze mnie fabryka. Odpowiedział „Ja, Linke-Hoffmann-Werke, prosto, ale daleko.”

Uszedłszy kilkanaście kroków zobaczyłem cmentarz w środku miasta, wciskający się z jednej strony w ruiny, a z drugiej — w ocalałe domy w pobliżu stacji wąskotorowej kolejki. Wśród drewnianych krzyży — barak. Ludzie niosą stamtąd zupe w menażkach. Inni stojąc w kolejce rozdeputują porośnięte pokrzywami mogiły. Pełno jeńców niemieckich okopujących groby.

Idę dalej i pytam napotykanym ludzi o drogę do tej fabryki. Nie mogłem iść prosto, jak mi wskazał pierwszy napotkany Niemiec, bo ulice były kręte, czasem całkowicie zasypane.

Na placu Pierwszego Maja pewien żołnierz kazał mi iść drogą Legnicką. Mijałem grupy żołnierzy polskich i radzieckich, ciężarowe samochody wzbijające kłęby kurzu. Z gruzów, które gdzieniegdzie całkowicie zasypały jezdnię, dochodziły pojedyncze strzały karabinowe. Czasem serie z automatu. Nie wiedziałem kto i do kogo strzela. Napady? Może zabawa nielegalnych posiadaczy broni. A może likwidacja niemieckich band powstałych z rozbitej armii?

Z przeciwnej strony idzie człowiek z białą opaską na rękawie, coś do siebie mówi gestykulując. Twarz ma nie ogoloną, oczy bez wyrazu. Zatrzymałem się na chwilę, by mu się lepiej przyjrzeć, bo nigdy jeszcze nie widziałem takiego Niemca.

Włokę się zmęczony w kurzu i w pyłe. Odpoczywam siadając na kamieniu, po czym znów idę nie wiedząc czy podążam we właściwym kierunku. Zatrzymuję dwóch młodziutkich żołnierzy z orzelkami na czapkach. Pytam, czy daleko jeszcze do tej Linke-Hoffmann, odpowiadają, że nie. Chciałem powiedzieć „panie żołnierzu...”, ale nie zdobyłem się na to, bo odeszli, więc po prostu patrzyłem jak szli w mundurach, z automatami na brzuchach. Dotychczas widywałem jedynie przemykających się chyłkiem, brudnych i obdartych powstańców warszawskich. Chciałem już mieć dwadzieścia lat i być takim żołnierzem.

Szedłem bardzo długo. Nie wiem ile czasu, bo nie miałem zegarka. Wydawało mi się, że kilka godzin. Zwątpiłem w to, czy maszeruję we właściwym kierunku oraz czy nie minąłem już tej fabryki. A może leży gdzieś wśród gruzów zrównana z ziemią?

W końcu zatrzymałem radzieckiego gazik. Spytałem, czy dobrze idę i jak daleko jeszcze do tej Linke-Hoffmann-Werke. Siedzący w samochodzie żołnierz odpowiedział „siadaj, podwieziemy.”

Skreślił w lewo przez tory, na których stał rozbity tramwaj. Zwały gliny, okopy, spalona trawa, kilka wagonów przewróconych na bok, zwinięte szyny, wyrwane progi. Kamienie i nie zasypany dół na drodze. Wiadukt, z którego zwisały kawałki betonu przyćwiezione do żelaznych prętów.

Kierowca zatrzymał się.

— To tu — powiedział.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. — Cofnął wóz, zakręcił i odjechał.

Gdzie mnie zostawił? — zastanawiałem się — jak się stąd wydostanę?

Uszedłszy kilkaset metrów w stronę placu, na którym kręcili się ludzie zainteresowani się, co oni tam robią. Jedni przechodzili przez rozbity czołgiem bramę, inni sprzedawali tytoń, bimber, słoninę. Ktoś miał nawet kiszzone ogórki. Niektórzy, zarówno kobiety jak i mężczyźni, mieli na sobie wojskowe płaszcze bez naramienników, wielu nosiło na nogach wojskowe buty. Przez moment szukałem wzrokiem mężczyzny z pociągu, który tak nienawidził Niemców albo po prostu usprawiedliwiał w ten sposób swoją szabrowniczą żyłkę.

Nie miałem wiele pieniędzy, więc niczego na razie do jedzenia nie mogłem kupić choć byłem głodny. Chciałem załatwić formalności związane z przyjęciem do pracy, sądziłem, że w fabryce jest jakaś stołówka.

— Gdzie tu jest biuro personalne? — zapytałem kogoś.

Odpowiedź utonęła w głośnych rozmowach dochodzących zewsząd. Ktoś, chyba po pijanemu, śpiewał „Rozszumiały się wierzby płaczące”.

Zbliżyłem się do stojącego w wylamanej bramie strażnika. Miał na sobie polski mundur wojskowy, a na ramieniu niemiecki karabin.

— Personalne?... — odpowiedział i zagroził mi wejście na pusty plac. — Znaczy się, do roboty chcesz?... Tam jest.

W baraku stojącym przed wejściem na teren strzeżony nie było tłoku. Kobieta w wojskowym mundurze z pistoletem przy boku pytała, czy zgłaszam się do pracy. Odpowiedziałem, że tak.

— Towarzyszu Strawiński. Do was.

Zbliżyłem się do mężczyzny, który zapytał ile mam lat i co umiem robić.

— Trochę się na stolarce znam — odpowiedziałem. — Malować ściany też potrafię.

— Potrzebujemy lakierników.

— Może być — zgodziłem się, choć nie wiedziałem dokładnie, co to jest lakiernik.

— Jakie masz dokumenty?

Wyciągnąłem wszystkie jakie miałem, stare, pobrudzone papierki, świadectwo szkolne, skierowanie z ministerstwa. Strawiński przejrzał je, wypisał przepustkę i kazał zgłosić się do majstra na wydziale RW — 1.

Przekroczywszy bramę fabryki zobaczyłem rozległy obszar zniszczeń ogrodzony miejscami murem, miejscami siatką lub zwykłym kolczastym drutem. Kiedy my to wszystko odbudujemy? — zapytałem sam siebie. — A może nie będziemy odbudowywać, może...

Biuro mojego wydziału RW-1 odległe było o kilkaset metrów od głównej bramy i mieściło się w nie oszklonej hali. Pokój, którego drzwi były zamknięte na druczany haczyk, umeblowany był niebogatą: nadpalony stół i brudna ława. Na stole leżał otwarty zeszyt i pół ołówka.

— Gdzie jest kierownik? — zapytałem, kiedy ktoś zajrzał do pokoju.

— O tam — odpowiedział, wskazując na grupę ludzi odgruzowujących łopatami drogę.

Kiedy podszedłem tam i przedstawiłem mu się, popatrzył na mnie i zapytał:

— W jakim charakterze chcesz pracować?

— Lakiernika.

— Znakomicie — odpowiedział majster. — Bardzo potrzebujemy lakierników. A teraz bierz łopatę i do roboty.

Przysłuchujący się rozmowie robotnicy wybuchnęli śmiechem.

— Co za chichy! — krzyknął majster i sam się roześmiał.

Wróciłem do hali i poszukałem łopaty. Była zgięta, więc ją wyklepałem kamieniem. Sztyl miała złamany. W zwalach patyków znalazłem inny, wbiłem go.

Wróciłem na plac do ludzi, którzy odpoczywali siedząc na kamieniach. Częstowali się machorką, więc i ja podsunąłem jednemu swój tytoń.

— Pal.

— Czemu nie — odpowiedział. Starszy był chyba ode mnie, ale przecież to nie miało znaczenia.

— Skąd?

— Z Warszawy. A ty?

— Ja ze wschodu.

— Poznaję po mowie. Gdzie mieszkasz?

— Przy Friedrikstrasse. A ty?

— Jeszcze nigdzie.

— Zgłoś majstrowi. Panie majster, tu trzeba spanie dla kolegi.

Majster znów popatrzył na mnie. Nie odpowiedział nic.

— Do roboty — mruknął po chwili, podniósł się i chwycił za łopatę.

Pracowałem jak wszyscy — energicznie, pochylony, nie prostując się nawet. Odrzucałem łopatą gruz. Wprawdzie nie byłem w grupie najmłodszy, tak mi się przynajmniej wydawało, ale nie chciałem, żeby ktoś powiedział „obja się”. Nie dlatego, że nie lubię tego zwrotu, lecz po prostu czułem w sobie dość siły i chciałem, żeby się ona na coś przydała.

Kiedy szliśmy na obiad, poczułem w krzyżu ból. Dłonie miałem czerwone od łopaty. Przecież praca fizyczna nie jest mi obca — pomyślałem — a jednak zmęczyłem się. Pomyślałem o pasażerach z pociągu. Czy nie lepiej było zostać z nimi?

Stołówka mieściła się w drewnianym baraku, większym od tego, w którym urzędowało biuro personalne. Z wojskowych kotłów nalewano nam zupę do blaszanych talerzy. Dostaliśmy także po kromce chleba. Oparłem się o parapet zabitego dyktą okna, bo przy stołach nie dla wszystkich starczało miejsc.

Kiedy weszła grupa niemieckich jeńców wojennych w niebieskich mundurach, bez pasów, z czapkami w jednej ręce, z menażkami w drugiej, przypatrywałem im się uważnie. Byli młodzi i mieli ostrzyżone głowy. Jeden z nich, stojąc w kolejce do kotła, uklonił mi się, jakbym był jego starszym kolegą. Skąd mnie zna? — zapytałem sam siebie. A może nie mnie się kłania? Obejrzałem się, zapytałem kolegę, czy zna tego Niemca. Odpowiedział, że nie. Jeżeli zna mnie z Warszawy — pomyślałem — powinien raczej unikać mojego wzroku. Ile może mieć lat?... osiemnaście, dziewiętnaście?... a może mniej, może tyle co ja? Ciekawe, czy był na froncie... gdzie dostał się do niewoli? Dlaczego akurat mnie się kłania?

— Koniec obiadu! — usłyszałem głos majstra.

Pospieszenie dojadłem zupę. Wyszedłem z ustami pełnymi chleba.

— Tamta hala z tyłu, zupełnie zniszczona — powiedziałem do idącego obok robotnika.

— Niemcy. Ale nie zdążyli wszystkiego zniszczyć. Armia radziecka szła stamtąd — wskazał na zniszczony wiadukt — i stamtąd... okrążyli całą dzielnicę fabryczną. Niemcy wycofali się i poczęli palić centrum miasta, uniwersytet. Byłeś tam?

— Nie.

— A na placu Grunwaldzkim?

Zaprzeczyłem. Wyjaśniłem mu, że dziś dopiero przyjechałem.

— Jedyne tramwaje, jakie jeździ po mieście, łączy dworzec kolejowy „Nadodrże” właśnie z placem targowym, czyli — jak go teraz nazywają — Grunwaldzkim. Nie dostałeś jeszcze ubrania?

Fot. J. BACHRIJ



— Nie — odpowiedziałem. Nie wiedziałem nawet, że mogę dostać.

— To idź do magazynu.

Spojrzałem na siebie. Rzeczywiście ubrany jestem śmiesznie: podarte letnie półbuty i drelchowe spodnie, wojskowa bluza bez dwóch guzików i cywilna czapka ze złamanym daszkiem.

Kiedy wszedłem do magazynu, przypomniałem sobie, że nie mam żadnego bloczka ani skierowania, ale magazynier odpowiedział, że niepotrzebne. Mogę sobie wybrać, co chcę. I wskazał na stos wojskowych niemieckich ubrań leżących na kupie. Byłem zaskoczony. Sądziłem, że dostanę jakiś kombinizon albo chociaż papierowe cywilne ubranie.

— Nie chcesz?

Podszedłem do stosu mundurów. Były lepsze i gorsze, o kolorze zielonym, niebieskim i morskim. Brudniejsze i czystsze. Kiedy oglądałem je, magazynier powiedział „o, ten”. I wyciągnął prawie nową sukienną bluzę z przedziurawionym rękawem.

— Załatasz — powiedział — przyszyjesz inne guziki, wypierzesz i chłopak jak szóstka. Na zapowiedzi można dawać.

— A spodni pan nie ma?

— Spodni ani butów nie ma. Może jutro będą. Ale są pasy.

— Po co mi pas?

Kiedy wróciłem do grupy, majster zapytał gdzie byłem. Pokazałem mu mundur.

— Zostaw łopatę i chodź.

Spojrzałem na stojących obok jeńców.

— Oni tu będą robić.

Dałem łopatę temu Niemcowi, który się do mnie uśmiechnął w stołówce. Odpowiedział „danke” i zasalutował. Dziwnie się poczułem. Pierwszy raz żołnierz niemiecki zasalutował mi. Wprawdzie to jeniec, ale przecież z armii, która chciała podbić świat.

Majster Michałak zaprowadził nas do zupełnie zniszczonej hali, w której stały jakieś maszyny. Nie wiedziałem, co to za maszyny więc oglądałem je, dotykałem. Nie były nowe, ale i nie zniszczone.

— Trzeba je owinąć papą — powiedział — i obić deskami, jazda po deski! A ty — po gwoździe i po papę.

Ciągnąłem po ziemi ciężką belę papy w stronę hali, w której stały maszyny. Z góry leciały na mnie iskry ze spawanych żelaznych konstrukcji dachu. Jeńcy niemieccy nosili szuby i podawali polskim robotnikom, którzy obcinali je i wstawiali.

EDWARD KUROWSKI

ODROBINA

statystyki na co dzień

Proponuję przesłedzić dzisiaj wyniki nauki prymusów szkół średnich przyjętych w roku akademickim 1972/73. Jak wiadomo, są to ci studenci, którzy w myśl decyzji Ministra NSWiT zostali przyjęci na studia w Politechnice Wrocławskiej bez egzaminu wstępnego. W ten sposób na studia

dzienne i wieczorowe dostało się łącznie 142 uczniów. Nie jest to znaczny procent studentów I roku, prymusi zajmują jednak wyróżnianą w pewnym sensie pozycję. Tymczasem praktyka wykazuje, że forma „preferencji” w przyjęciach na studia jest co najmniej dyskusyjna.

Postępy w nauce „prymusów” z roku akademickiego 1972/73

Wydział	liczba przyjętych w r. 1972/73	zaliczyło I rok studiów	Wyniki po sesji letniej:			
			slabo	przec.	dobrze	b. dobrze
1. STUDIA DZIENNE						
Architektury	7	7	—	1	3	3
Budownictwa Lądowego	9	7	—	—	4	3
Budownictwa Lądowego Fil. Kłodzko	1	—	—	—	—	—
Budownictwa Lądowego Fil. Wałbrzych	2	2	—	—	1	1
Górnictwy	11	9	2	2	1	4
Elektroniki	30	26	3	7	8	8
Elektryczny	7	6	—	3	3	—
Elektryczny Fil. Legnica	2	—	—	—	—	—
Elektryczny Fil. Świdnica	1	1	1	—	—	—
Górnictwy	1	—	—	—	—	—
Informatyki i Zarządzania	7	7	1	1	4	1
Inżynierii Sanitarnej	9	7	—	2	5	—
Mechaniczny	22	20	4	8	5	3
Mechaniczno-Energetyczny	3	3	—	3	—	—
Podst. Problemów Techniki	18	15	—	2	8	5
Mechaniczny Fil. Wałbrzych	1	1	—	—	1	—
razem :	131	111	11	29	43	28
2. STUDIA WIECZOROWE						
Budownictwa Lądowego	1	—	—	—	—	—
Budownictwa Lądowego Fil. Kłodzko	3	1	1	—	—	—
Chemiczny	1	1	—	1	—	—
Elektryczny	1	1	—	—	1	—
Elektryczny Fil. Legnica	1	—	—	—	—	—
Mechaniczny	2	1	—	—	1	—
Mechaniczny Fil. Wałbrzych	2	1	1	—	—	—
razem :	11	5	2	1	2	—
1. I rok studiów dziennych zaliczyło 84,7% przyjętych (w tym z oceną bardzo dobrą i dobrą 54,2% przyjętych).						
2. I rok studiów wieczorowych zaliczyło 45% przyjętych.						

Jak widać z tabeli, prymusi nie poczynali sobie najlepiej. Tylko 85% na studiach dziennych i 45%!!! na wieczorowych zaliczyło semestr, przy czym tylko 25% studentów studiów dziennych zaliczyło semestr z wynikami bardzo dobrymi. W grupie prymusów na studiach wieczorowych brak w ogóle osób z wynikami bardzo dobrymi! Jak widać, nawet jeśli przyjąć, że szkoła średnia rzetelnie kwalifikuje prymusów spośród swych absolwentów, to i tak nie można założyć, że zakończą wyższe studia w terminie.

Powyższe wyniki stanowią jeszcze jeden kubek zimnej wody na głowy tych, którzy postulują zniesienie egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie i kierowanie się przy doborze kandydatów wynikami ze szkoły średniej.

Można tu zapytać, czy wyniki egzaminu wstępnego dają lepszą prognozę co do ukończenia studiów, ale tą sprawę poruszymy innym razem.

JANUSZ M. PAWLIKOWSKI

"WAKACJE KOZAKA"



dokończenie

Z Londynu można wyjechać wszędzie — na trzy strony świata lub — w morze. Ja oczywiście jadę tam, gdzie mam szansę spotkać znajomych. Jedno z przyczyn dla podobnych mi turystów powinno brzmieć: nie zapominaj o adresach! Wybieram się więc w podróż „wszerz” Anglii, aż do tzw. „Lands Endu”, czyli zachodniego końca wyspy, ściślej — na południowe wybrzeże Kornwalii. Ten odcinek wybrzeża bywa nazywany Angielską Riwierą, prawdopodobnie ze względu na łagodny klimat oraz typowo śródziemnomorski wygląd małych miasteczek. O czymś takim jak plaża, oczywiście nie ma mowy. Kamienie, skały, w dodatku ciągle wahania poziomu wody (chyba ok. 5 metrów), temperatura wody jak w górskim strumieniu — to wszystko po raz któryś upewnia mnie, że nie ma to jak Bałtyk. Podczas więc, gdy z północy ciągną na połud-

niowe wybrzeże karawany samochodów (spotkałem raz kierowcę, który jechał tam na weekend ok. 800 kilometrów!), ja ruszam „pod prąd”, czyli na północ. Tym razem za punkt docelowy wybieram Manchester — serce przemysłu angielskiego, który w mej wyobraźni jawi się jako brudne, szare miasteczko we mgle zmieszanej z dymem. Po drodze mam okazję stwierdzić, że jedynym ciekawym akcentem pejzażu angielskiego jest sieć autostrad (widok w sumie smutny, choć dla Polaka wielce egzotyczny), gdyż np. o lasach — szkoda marzyć. W najlepszym wypadku — wrzosowiska. Jedynym ładnym miastem, o które po drodze „zahażam”, jest Bristol. Wydaje się jakiś jasny i czysty, a może to tylko złudzenie dzięki pięknej, słonecznej pogodzie? Pod Bristolem stoję na czteropozomowym rozjeździe autostrad i przez chyba pół godziny lażę po różnych mostach starając się wyedukować, w którym kierunku i którą autostradą można by dojechać do Manchesteru. Sam, z ciężkim bagażem, bez aktualnej mapy, otoczony tysiącem samochodów pędzących bez żadnych ograniczeń (oficjalnie: 70 mil na godzinę, ale nikt tego nie przestrzega i owo 70 mil traktuje się raczej jako granicę dolną) — czuję się dość nieswojo. W końcu postanawiam zaufać zmysłowi człowieka, który jeszcze całkiem nie zerwał kontaktu z Matką Naturą, i orientuję się... według Słońca. Okazało się, że dobrze. Po drodze do Manchesteru zatrzymuję się jeszcze w Birmingham, które jest naprawdę brzydkie i właściwie niczym (z wyjątkiem marketu — molocha — centrum handlowego) się nie wyróżnia. Jadąc z Birmingham do Manchesteru zauważam, że wygląd okolic tych, będących (pod względem uprzemysłowienia) angielskim odpowiednikiem naszego Śląska, wcale nie odpowiada moim wyobrażeniom; kominów prawie nie widać, a co za tym idzie — atmosfera czysta. Manchester — podobnie. W centrum tego ogromnego miasta można odetchnąć całkiem świeżym powietrzem. Są to widoczne skutki akcji antydymowej, polegającej m.in. na zlikwidowaniu wszelkich kominów (nawet w domach). Wprawdzie nie wybieli to zaczerwienionych domów robotniczych skupionych wokół dawnych fabryk, ale za to nowe bloki w centrum miasta mają szansę długo jeszcze prezentować się równie dobrze jak teraz.

Zostawmy jednak Manchester, Liverpool, Halifax, Leeds i inne miasta środkowej Anglii w spokoju. Naprawdę żadne z nich niczym się nie wyróżnia, ani nie grzeszy urodą. Manchester jest dla nas interesujący z innych powodów — jest to chyba najbardziej „polskie” (po Londynie) z miast angielskich. Polskie nazwiska spotyka się nie tylko w książce telefonicznej, ale i na szyldzikach różnych niedużych skle-

pów, firm itp. Działają w Manchesterze dwa kluby polskie. Spotkałem jednego z takich naszych rodaków. Jego nazwisko było zawsze zbyt skomplikowane dla Anglików. Wiedzieli tylko, że zaczyna się na literę „K”, dlatego zaczęto nazywać go „mister Key”. Pod takimż („Key”) nazwiskiem otworzył nieźle prosperującą firmę jubilerską, dzięki której może pozwolić sobie na Manchesterze nowiutkim rowerem. Odwiedzamy polskie kluby. Pierwszy z nich przypomina knajpę dworcową, tyle że na korytarzu wiszą zdjęcia Piłsudskiego, Sikorskiego i Bóg wie kogo jeszcze, w różnych pozach i sytuacjach. Tu i ówdzie — jakiś smutny człowiek.

W knajpie, przy brudnych stolikach, nad którymiś z kolei kuflem podłego angielskiego „ale pole” toczą się dyskusje. Najczęściej są to wspomnienia lub rozmowy o Polsce współczesnej, znanej wielu tylko z listów od rodzin w kraju. Przychodzą tu codziennie jak Anglicy do swych pubów, jacyś tacy szarzy, przygnębieni. Tu są Polakami, są z tego dumni. Rano w pracy są już tylko zwykłymi cudzoziemcami, którzy zawsze będą czymś gorszym od „prawdziwego Anglika”, choćby od dwudziestu lat byli formalnie Anglikami. Tu, w pracy chcieliby być Anglikami, albo już być w swoim klubie, w którym wolno im czuć się Polakami. Spotykam dwóch młodych chłopaków — mniej więcej w moim wieku. Są tu od dwóch lat. Z początku do klubu nie przychodzili, trochę się z tego śmiali. Teraz pracują i nawet nie wspominają o powrocie do kraju, ale już zaczynają tu bywać. Wciąż ich ten przegrany świat nie kończących się i do nikąd nie prowadzących dyskusji, smutek wspomnień „z dobrych czasów”. Oni tych wspomnień nie mają, ale przychodzić tu będą choćby po to, by pogadać po polsku. A o czym — obojętne. Po paru piwach, to wszystko jedno. Cóż, może nie mieli okazji odbyć takiej wycieczki po polskich klubach?

Tempo życia nie pozwala na głębsze refleksje, to przychodzi później. Wpadłem w wir życia towarzyskiego, zwiedzania okolicznych miast (w tym — centrum angielskiej rozrywki — Blackpoolu), że myśleć mogę praktycznie tylko wieczorami (późnymi), gdy przed snem spisuję wrażenia w listach, w listach, które nadejdą już po moim powrocie, ale to nie szkodzi — są one bowiem moim dziennikiem podróży. Pożyczę je od żony i poczytam sobie, gdy będę chciał odświeżyć wspomnienia.

Z Manchesteru jadę jeszcze raz do Londynu, a stamtąd, znaną mi już drogą — do Wrocławia. Jednym z najmiłszych momentów całych tych moich „wakacji” było przekroczenie Odry w Zgorzelcu.

WOJCIECH KOZAK

prezentacje

Old Metropolitan Band



Fot. M. SOBSTYL

W klubie „Kurant” 11 stycznia Stowarzyszenie Jazzowe Politechniki zorganizowało spotkanie z krakowską grupą *Old Metropolitan Band*. Zespół, szeroko znany w kraju i za granicą, wystąpił w składzie: Andrzej Jakóbiec — trąbka (pamiętamy wszyscy jego sławetny eksperyment z orkiestrą góralską na JnO-71), Marek Michalak „Kaloryfer” — puzon, Ryszard Kwaśniewski — klarnet, Tadeusz Oferta „Demon Seksu” (tak go reklamują!) — banjo, Ryszard Kopciuch — bas, wreszcie Adam Pukalak — bębny.

Old Metropolitan Band powstał w 1968 roku. Reprezentuje w zasadzie „traditional”. Muzycy dużo siedzą za granicą. Mają podpisany kontrakt z zachodnioniemieckim impresario na okres pięciu lat. Występowali na słynnych jazzowych festiwalach w Dunkierce i San Sebastian.

Doskonały warsztatowo team Jakóbca wykonał kilkanaście uznanych standardów jazzowych. A więc był i *Summertime* i brawurowo wykonana ellingtonowska *Karawana* („utwór o trudnościach w transporcie paliwa przez pustynię” — jak go śmiesznie określili muzycy), nie zabrakło też nieśmiertelnego motywu *Gdy święci idą do nieba*. Wreszcie zespół wykonał swój „sztas” (jak chce T. Drozda) — kompozycję *Eis-cream* — wciągając do wspólnego śpiewania publiczność. A publiczność była... doskonała! Bardzo szybko zespół nawiązał z nią kontakt. Aż chciało się z radości płakać, bo dawno już nie było w naszych klubach tak autentycznej imprezy stricte studenckiej. Na sali sam — Maciek Walkowiak — nasz szef kultury cały poruszony, z wypiekami na licach i gore.

Po występie — małe „interview” z kierownikiem zespołu — Andrzejem Jakóbcem. Rozmawiamy o jego eksperymentach. Andrzej nadal czyni próby integracji jazzu z muzyką ludową. Komentuje występ: „... wszystkie kawałki happy-jazzowe tworzące mini-show, to nasz ukłon w stronę publiczności, próba wciągnięcia jej do wspólnej zabawy. Zresztą cały jazz jest „happy”. Jest bardzo zadowolony z odbioru. W ogóle uważa publiczność studencką za cudowne zjawisko. Chciałby się jeszcze z nami spotkać. Na zakończenie prosi mnie o przekazanie pozdrowień działaczom Stowarzyszenia Jazzowego Politechniki, wszystkim sympatykom zespołu, na i jazzu na naszej Uczelni — co niniejszym z przyjemnością czynię.

WOJCIECH ALEKSIEWICZ



FORTUNACI

Oczy nad biurkiem, mgłą szkła zaszyły, od Pacyfiku spokojna fala przyplwy przynosi na ustach wiatru zapowiedź nie odkrytych zdarzeń, blask pojawił się nad Andami w saletrze, wąską kamienną ścieżką biegacz oddech zostawiał za sobą, a z przeciwka pędziły skały samotne drzewa grupy drzew lasy, złota twarz Inti koło tarczy co odsłania serce kudłatej lamy jak dziełce słońca odsłaniały swoje łona przed potomkiem koła okręgu tarczy złotej szczerzozłotej bez zafalszowanego karatu, a synowie słońca pod sklepieniami klasztorów biorą dziełce na złote rogi i wynoszą do komnat rozkwitłych śmiechem w języku kiczua i nie pora jeszcze na dramat Ollantay zresztą nie urodził się Pizarro więc spokojnie mogli płodzić kuzynów koła jak ziemia z niebem płodzi horyzont nie trzeba było więzi Atahualpy ani go zabijać i morderca mógł spać spokojnie w cichej dolinie pod kamieniem przyszłości zanim konkwistadorski koń nie potknął się o kamień i upadł koń i kamień upadł w przepaść wypuszczając przyszłość — schła krew na posadzkach kamiennych komnat bo

w końcu przyszła legenda w rzeczywistość i Witoszua w hiszpańskim mundurze ze strzelbą zszedł ze skrzydeł okrętu niby z nieba stopniami zębatach szczytów i jeszcze pozostała głowa w obłokach dymu siarkowego z saletrą którą odkryją kiedyś i z węglem na miejscu bo tylko kamienie nie daly się spalić więc odszedł także Manco Capac drogą pełną sadzy ku górze podczas gdy kamieni nie dało się spalić więc trwały kamienie spokojne niby lamy na porośniętych zboczach opustoszałą ścieżką pędził cień biegacza naprzeciw zbliżającym się czasem, biała fala przyplwy podeszła pod szczyty Andów i zapomniano o słońcu bo go nie widziały zapocone oczy, kopali wtedy miedź kopani ukutymi butami w śniade brzuchy, poroniona wolność dogorywała w skalnych szczelinach — musiał przetrzeć szkła i zobaczyć to wszystko i przyjść z łagodną twarzą zalecać ból co się ulicami błakał w rynsztoku na śmietniku poprzez fabryczną bramę wyciągnięte ręce chwytaly blask prawdy i stało się zdradą i ludzie z procesji pojmali go i zawiedli do ciemnej komnaty biczowany do nastania wieczora nocy i ranka został wywiedziony na szczyt wysokiej góry skąd przykazali patrzeć i mówili — spójrz na te zbocza porośłe lasem łaki pola doliny strumienie rzeki jeziora tam ludzie żyją zwierzęta owady mikroby tam już siebie nie znajdziesz — i wiedli go dalej do najniższej doliny skąd przykazali patrzeć w górę i mówili — spójrz na doliny pagórki wzniesienia zbocza łaki lasy jeziora rzeki góry a nad górami obłoki niebo tam jest samo życie a ciebie nie widać w tym życiu — a potem przynieśli drzewo i ukrzyżowali je i kazali mu nieść więc wziął ukrzyżowanie na barki i szedł kamienistą ścieżką ku szczytowi wzgórze za sobą mając nieprzychylnie oddechy twarze nieprzyjazne i spoczone karki po bokach szpaler obojętnych postaci niemych widzów co z tępyimi twarzami przyglądali się jak dźwiga ukrzyżowane drzewo ku szczytowi wzgórze, spokojnie to czynił bo wiedział już teraz co go spotka i co stanie się zaraz potem i już był drzewem ukrzyżowanym na szczycie i ujrzał tę twarz wielkooką owal otoczony ciemnymi włosami z odcieniem miedzi drobną postać miał przed oczyma i w ciągu jednej jedynej sekundy w błękicie nieba czy oczu ujrzał dwie lzy kiedy podnosili go w

drzewie ku górze i tak górował nad tłumem nad ich głowami przerzuciwszy pomost myśli pomiędzy tamtym bólem a jego wiarą i tłoczył prawdę w arterie i w pulsowaniu czytala — to potrwa chwilę niech nacieszą swój spokój niech myślą co chcą myśleć nawet nie musisz czekać trzech dni za jedną jedyną chwilę nim odejdę będę z powrotem więc uśmiechnij się — lzy też obeschły promieniem słońca twarzą kobiecą sercem odczuwał głód niemowląt i rozdziewczył ziemię motyką w sekatej dłoni dla wydania owocu swojego żywota był więc chleb ale nim począł łamać i dawać przejechał przezeń czołg i samochód pancerny i seria maszynowego karabinu więc krzyk był pełen nienawiści i grozy ale przez krzyk także czołg przejechał i samochód pancerny seria maszynowego karabinu buty go na końcu podeptały i pocałował płomień a kondor ze szczytu przyglądał się temu wszystkiemu ze spokojem w dziobie i skrzydłach, miał też widzieć jak pękają szkła okularów i posadzka pałacowa pęka od prezydenckiej krwi na ścianie skrawek myśli rozmazany mózgiem długopis dalej leżał na biurku do połowy zapisana kartka papieru i wiedziona ręką skreślone słowa nie wiedzą co czynią przebaczenie im gasienice tankietek buty kute kolby karabinów kastety pięści w świat poszły głosem pogardy w naczyniu po brzegi wypełnionym ale nienasycona kula ziemiska przelknęła i to także bez skrzywienia więc tylko pisano o tym w gazetach przez radio szła gonitwa w szklanych ekranach zobaczyłeś odpryski szkła okularów twarz łagodną pana doktora z lat dziecińczych i szła muzyka na czele z perkusją kawalkady po dwóch półkulach bo na tamtej nie było perkusji a eksplozje bomb werbli także nie było to grzechotały karabiny pod prezydenckim pałacem podczas gdy sam zanurzałeś się w łono błogosławnego spokoju na tacy śląc wizytowy bilet solidarności swojej a tam w pałacu na posadzkach ostatni skurcz człowieka w rozbitym szkłe okularów rozbitego narodu co nie ujrzy już swojej wiary gdy wy starcy zagrzewacie niemoc swojego współczucia oddechem zmurszałych praw.

TUTMOZIS



DODATEK
SPECJALNY

Prezentacje LEGNICA

KIM JESTEŚCIE, ŻACY?

Pięć lat, które mamy już za sobą, to dużo i mało. Dużo w życiu pojedynczego człowieka, ale jednocześnie o wiele za mało na ukształtowanie środowiska takiego jak nasze, studenckie w Legnicy.

Czy my, pierwsi słuchacze legnickiej Filii Politechniki Wrocławskiej zdajemy sobie sprawę z tego, że od nas zależy oblicze przyszłego środowiska studenckiego w Legnicy? My powinniśmy kształtować styl, narzucać formę, tak aby nasi następcy mogli bazować na tym, co stworzyliśmy.

Bracia żacy, możemy więc przejść do historii! Zaczniemy się trochę ruszać, bo nasi następcy miast nam dziękować, psy na nas wieszać będą. Ręce załamią nad przekazanym im spadkiem.

Nie możemy pójść po najmniejszej linii oporu, wzorując się ślepo na większych środowiskach studenckich z Krakowa, Warszawy czy Wrocławia. Stawimy grupkę zbyt małą, na dobrą sprawę tworzymy nieco większą rodzinę, bo przecież wszyscy się znamy co najmniej z widzenia. Wygląda na to, że jesteśmy bardzo zgraną gromadą. Niestety pozornie: dość wyraźnie rysuje się podział na lata, a w nich na grupy, następnie na izolowane grupy nieformalne, indywidualistów, takich którym wszystko „zwisa” i niezdecydowanych. Nie ma mowy o żadnej integracji, praktycznie jest ona mrzonką, czy „snem o potęgze” działaczy z RF SZSP!

Mamy być w przyszłości kadrą kierowniczą w naszym regionie, nie tylko fachowcami, ale i humanistami. Przykro nam będzie, gdy usłyszymy przypadkiem: patrz go, inżynier, szpagatowaty inteligent.

Jak to jest z naszą działalnością na niwie kultury? Dziekan Wydziału Elektrycznego dr inż. S. Vrabetz twierdzi, że studiujemy w wolnych chwilach. Czyli czasu jest mnóstwo! Jak to się więc dzieje, że na imprezach w klubie bywa kilka, czy kilkanaście osób. Spotkałem się z głosami, że imprezy są nieciekawe, a atmosfera w klubie — niezbyt przyjemna. Być może jest w tym trochę racji. Ale też, gdy Komisja Kultury załatwia bilety do Teatru Miejskiego na koncert jakiegoś zespołu, bilety rozchodzą się w mig, gorzej, gdy jest to „tylko jakaś sztuka”... Czy tak być powinno?

Spora część żaków ogranicza się do utyskiwań. Jasne, to najłatwiej, ale ja

mam lepszą propozycję. Weźcie się do roboty, przecież nowa organizacja stwarza warunki, jakich nigdy dotąd nie było.

Przyda się też parę słów krytyki obecnej Radzie Filii SZSP, której działalność widać jedynie na tablicy w postaci ogłoszeń: — „zebranie RF SZSP odbędzie się...” Radzą i radzą i... nic. Zastój, stagnacja, nie ma ruchu. Niektórzy członkowie RF zastanawiają się, co oni tam właściwie robią prócz dobrego wrażenia, po co są te zebrania, toż to marnowanie osobogodzin! Nie tędy droga, panowie działacze. Do czynu, mniej radźcie, a więcej róbcie. Mamy przecież klub, o który kiedyś tak walczyliśmy. Mówiło się: gdybyż tak był klub... Teraz jest, i co z tego, skoro nie ma w nim życia studenckiego i nie jest ogniskiem studenckiej kultury w Legnicy.

Mają być organizowane „filiomalia”, impreza dużego formatu, z rozmachem. Czasu wcale nie jest zbyt wiele, a jak wygląda zaawansowanie prac?

Sprawą, która psuje krew działaczom jest aklimatyzacja naszych młodszych koleżanek i kolegów. Przychodzą oni na uczelnię z reguły bezpośrednio

po szkole średniej. A ponieważ stanowią dość znaczny procent, w naszym świecie jeszcze nie okrzepłym powodują małe zamieszanie, tak, że proces wchłaniania nowych i „robienia” z nich studentów trwa nieco dłużej niż na dużych uczelniach. Jednak każdy nowy rocznik wnosi do uczelni coś nowego. Na przykład, dzięki obecnemu trzeciemu rokowi elektrycznemu zakwitła turystyka i sport. W efekcie mamy rajdy, obozy i drużynę siatkarzy z dużymi osiągnięciami...

Działamy w trudnych warunkach, to oczywiste. Myślę że na dziesięciolecie Filia będzie mogła poszczycić się sporymi osiągnięciami i powita je jako prężna grupa ludzi, z potrzebami której nasze miasto będzie się liczyć. Musimy być widoczni w mieście, by legniczanie wiedzieli, że mają swoich studentów, obecności swej nie możemy zaznaczać tylko w manifestacji 1-majowej. Możemy podziękować miastu, dając rzecz bezcenną — swoją młodość, a więc radość życia, swój uśmiech i zaangażowanie. Miasto jest potrzebne nam, ale my miastu także. O tym warto wiedzieć i pamiętać.

ZBIGNIEW ROMAN

Fot. F. GRZYWACZ



PRZEROBU?

Zakład Usługowy nr 7 Studenckiej Spółdzielni Pracy „ROBOTU” w Legnicy powstał w marcu 1972 roku. Bardzo nikła początkowo informacja o zakresie wykonywanych przez Spółdzielnię prac utrudniała jej start. W niedługim jednak czasie wieść o „ROBOCIE” rozeszła się drogą „pantoflową” i na brak pracy studenci narzekać nie mogli.

Takie zakłady jak „LEGMET”, „HANKA”, „MILANA” na stałe korzystają z usług Spółdzielni. Kilkakrotnie wykonywano także prace w Prochowicach, Chojnowie, a nawet w Bolesławcu. Wiele zleceń pochodzi również od osób prywatnych. Żadne nie czeka na realizację dłużej niż kilka dni.

Nie tylko powiększa się zasięg „ROBOTU”, ale i różnorodność świadczonych przezeń usług: od przeładunkowych, porządkowych, biurowych, technicznych przez korepetycje z matematyki, fizyki, do specjalistycznych. W niedalekiej przyszłości studenci po przeszkoleniach wykonywać będą także pomiary elektryczne.

Zainteresowanie legnickim zakładem systematycznie rośnie. W roku 1972 przerób wyniósł 500 tys. zł, zaś w roku 1973 — 937 585 zł (plan przerobu przekroczono o 57%).

Porównując te wyniki z Robotem jeleniogórskim utworzonym wcześniej od legnickiego, który w 1973 roku miał trzykrotnie mniejszy przerób, śmiało można mówić o dużej dynamice rozwoju Spółdzielni.

Do takiego rozkwitu przyczyniło się z całą pewnością ogromne zainteresowanie studentów pracą w Spółdzielni. W 1972 roku w rejstrach ROBOTU widniało 68 wykonawców, a z początkiem 1974 r. jest ich już 97. Bardzo wiele czasu poświęcili przy organizacji SSP ROBOT jej pierwsi członkowie: Krzysiek Jonko i Sławek Mroziński. Radą i pomocą służy wszystkim pani Anna

Niewadzi — stały pracownik legnickiej placówki. Gdy zdarzają się kłopoty z nowym wykonawcami, którzy nie znają wszystkich przepisów pracy, pani Anna interweniuje, tłumaczy i stara się ułagodzić konflikty.

Celem naczelnym Spółdzielni jest pomoc finansowa dla studentów. Dlatego prócz wynagrodzeń za pracę, tak członkowie jak i wykonawcy korzystają z innych świadczeń np. zapomóg. Mogą także ubiegać się o dofinansowanie wyjeżdżając na wycieczki krajowe i zagraniczne, o bezpłatne korzystanie ze sprzętu sportowego, zniżki na różne imprezy. Duża odległość od Wrocławia sprawia, że kontakty z Zarządem są niezbyt częste, przez co nie we wszystkich atrakcyjnych imprezach biorą udział legnicy studenci.

Jeszcze kilka słów o zleceniodawcach. Do tej pory nie było reklamacji za wykonane usługi, a zdarzają się telefony z podziękowaniami za szybko i solidną robotę. Tak więc ku zadowoleniu wszystkich niech legnicki ROBOT dalej pracuje dobrze i rozwija się jeszcze szybciej.

FRANCISZEK GRZYWACZ

PRAPREMIERA

Wydarzenie wielkie czy małe, trudno osądzić; na pewno jednak godne uwagi, a dla naszego środowiska studenckiego — bardzo ważne. Chodzi o prapremierę Studia Sztuki Gestu — „SALTATOR”.

Zespół zaprezentował swoje propozycje niewielkiemu gronu widzów w dwa i pół miesiąca od chwili powstania.

„SALTATOR” jest zespołem bardzo młodym i ambitnym. Kieruje nim pan Olek Sobieraj — jeden z założycieli „Gestu”. Sztuka saltacji, którą zajmuje się zespół, i od której przyjął nazwę, wywodzi się jeszcze z czasów starożytności.

Saltator był kompozytorem, poetą i wykonawcą własnych poczyni, a saltacja jest wewnętrzną poezją działania opartą o akcję i milczenie. Postanowiono potraktować pantomimę, która jest grą opierającą się na naśladownictwie, jako uzupełnienie ćwiczeń, a nie podstawę wypowiedzi.

Głoszą w swoim programie: „Nasz teatr jest wypowiedzianiem się osób obecnych — aktorów działających na scenie, którzy są jednocześnie autorami tekstu działania wyrażonego za pomocą własnego ciała, rytmu, kompozycji, harmonii ruchu i poezji”.

Te założenia artystyczne eliminują pomocnicze formy przekazu, znaczenie ma jedynie wymowa gestów i dynamiczne wykorzystanie przestrzeni na podłożu muzyki. Muzyka i światło, to sprawa przyszłości. Zespół ma zamiar wykorzystać instrumenty stare, tradycyjne, jak bęben, fujarka, które wy-

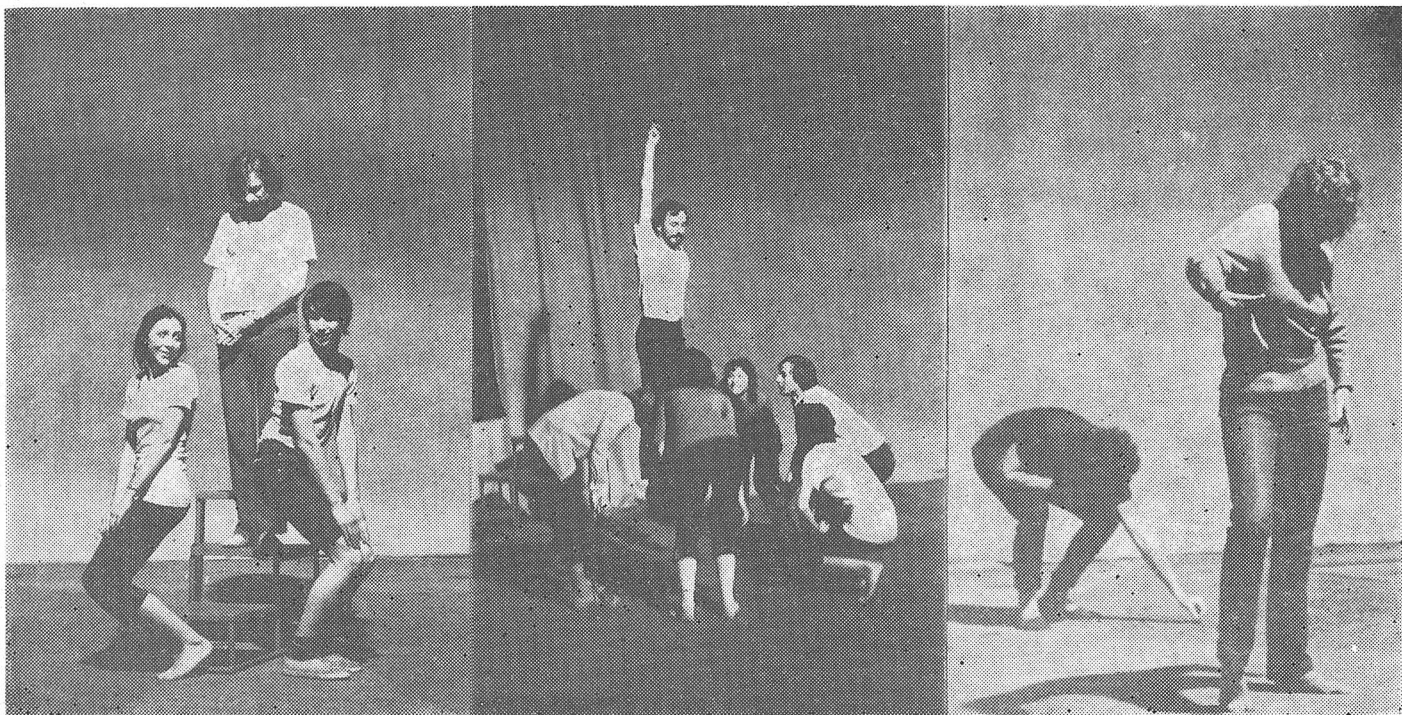
twarzają szczególny nastrój w teatrze saltacji.

Studio Sztuki Gestu kieruje się w stronę improwizacji. Niezwykle ważną jest tu sprawność i czyste technicznie wykonanie, lecz nie są to sprawy numer jeden. Głównym celem jest zapewnienie członkom zespołu swobody działania w poszukiwaniu najpełniejszych form wyrazu dla stanów uczuciowych, nastrojów, sytuacji i przeżyć wewnętrznych człowieka. Osiągnięcie tego celu będzie stanowiło o sukcesie grupy, i to nie tylko w środowisku, ale przede wszystkim wewnątrz zespołu. Sukces będzie wyrazem zjednoczenia intelektualnego i upoważni do głębszych, twórczych osiągnięć artystycznych.

Aktorzy teatru saltacji wierzą w sens i wartość tego, co czynią i dają z siebie wiele. Czekają jednak jeszcze długa i żmudna droga.

HALINA OLECH

Fot. F. GRZYWACZ



SZCZĘŚLIWY ROK

Rok 1973 był szczególnym okresem dla sportu na naszej uczelni. W roku tym narodził się wyczyn. Zwrot w charakterze działalności Akademickiego Związku Sportowego nastąpił za sprawą drużyny siatkówki, która zgłoszona do rozgrywek na szczuble B-klasy, już w tym samym sezonie wywalczyła awans do A-klasy.

Dotychczasowa działalność AZS ograniczała się do organizacji imprez sportowych wewnątrz uczelni i tylko w nielicznych przypadkach poza jej murami. W zależności od rodzaju imprezy, ci sami sportowcy byli raz siatkarzami, raz piłkarzami lub lekkoatletami. Rozdrabnianie się na wiele dyscyplin sprawiało, że w żadnej z nich nie odnosiliśmy poważniejszych sukcesów. Udział w Pucharze Dyrektora Filii, mistrzostwa w lekkiej atletyce, regionalnych turniejach, pucharach i pucharach nie zaspokajał w pełni ambicji sportowych, ani samych sportowców, ani sympatyków sportu. Pragnienie mieli jedno — grać w lidze państwowej. Sprawa ta była wielokrotnie przedmiotem gorących dyskusji i sporów. Należało bowiem zdecydować się na jedną dyscyplinę sportu. W grę wchodziły: piłka nożna i siatkówka. Jesienią 1971 roku na pierwszych latach znalazło się kilku dobrych siatkarzy i to zadecydowało.

Minęły następne dwa lata zanim drużynę można było zgłosić do rozgrywek B-klasy nie tylko bez obawy kompromitacji, ale nawet z szansami odegrania niepośledniej roli w grupie. W momencie zgłaszania zespołu do B-klasy drużyna jako kolektyw nie istniała. Bazowano na kilku zawodnikach, którzy w przeszłości uprawiali siatkówkę. Zespół był więc nierówny. Najlepszego i najgorszego zawodnika pod względem umiejętności dzieliła przepaść. Każdy mecz miał dwa oblicza. Poprawną grę często przeplatały żenujące wręcz momenty. Jednak systematyczny trening i doświadczenia zdobywane w kolejnych meczach sprawiły, że wartość drużyny rosła w bardzo szybkim tempie. Awans do A-klasy nie był więc dziełem przy-



Fot. F. GRZYWACZ

padku, lecz wynikiem ciężkiej pracy całego zespołu oraz jego trenera — mgr Wincentego Śliwy. Rozgrywki na drugim szczuble drabiny klas i lig siatkówki dla młodej stażem siatkarzom drużyny AZS są następną trudną próbą umiejętności. Z próby tej siatkarze, jak dotychczas, wychodzą obronną ręką, mając jeszcze duże szanse wywalczenia awansu do III ligi.

Na koniec należy wspomnieć o nie-małych zasługach sportowców w propagowaniu dobrego imienia naszej uczelni. Ciekawa gra i wzorowa postawa zjednała siatkarzom AZS wielu sympatyków na terenie niemalże całego województwa wrocławskiego.

MIROSLAW JASIELEWICZ

Ścisłe zamyślenia

Nie każdego da się bliźniego
aprosymować do przebiegu swego.

★

W zależności od okoliczności
zmieniała swój współczynnik lepkości.

LILIANA DROZDOWSKA

Inż. B. wykonał automat, w którym
telewizję zastosował do przesiewania
maku. Urządzenie skonstruowane jest
w ten sposób, że dzięki specjalnym
przełącznikom trzęsący się obraz trzę-
sie sitem zawierającym mak do prze-
siewania.

★

Oburzenie wśród studentów wywoła-
ło postępowanie pani X kierowniczk

baru mlecznego, której nie chce się do-
lewać wody do mleka, lecz podaje te
dwa płyny osobno, każąc studentom,
by sobie mieszała sami.

★

Jak donosi SAP, wysoko oceniany
obraz malarza R. okazał się beczelnym
plagiatem zacieku na ścianie w jednej
z sal wykładowych Filii Politechniki
Wrocławskiej w Legnicy.

BOGDAN CZOPOWIK

KRONIKA WYDARZEŃ

Dnia 24 X 73 r. odbyła się Konferencja Programowo-Wyborcza Rady Filii SZSP, na którą przybyli zaproszeni goście: Dyrektor Filii — doc. dr Cz. Żymalski, pełnomocnik d/s studenckich — mgr J. Grzybowski, przewodniczący Rady Powiatowej FZMIP — J. Lewandowski, przewodniczący RU SZSP Studium Nauczycielskiego — J. Zimankiewicz oraz przedstawiciele Rady Uczelnianej Politechniki Wrocławskiej. W referacie programowym J. Malinowski nakreślił plan działania nowej ka-

dencji Rady. Po dyskusji nad programem wyłoniono w wyborach nową Radę Filii.

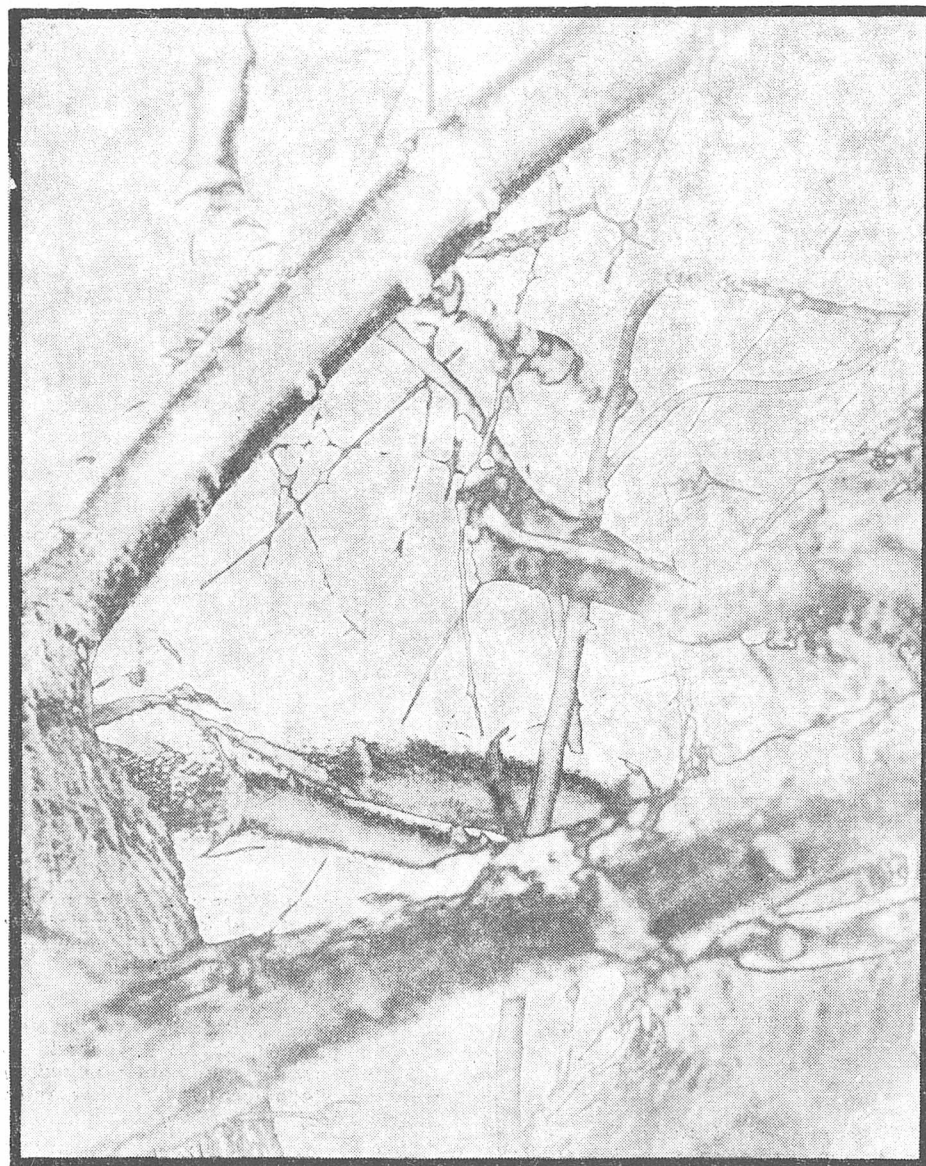
Przedstawiciele Dyskusyjnego Klubu Filmowego SZSP—LEGNICA w dniach 26–30 listopada uczestniczyli w Ogólnopolskim Seminarium DKF i Kin Studyjnych w Poznaniu. Tematem seminarium były zagadnienia współczesnego kina politycznego.

14 grudnia odbyły się wybory do studenckiej Temidy, czyli sądu koleżeń-
skiego. Miejmy nadzieję, że nie będzie on miał zbyt wielu spraw do wyrokowania.

Tylko sekundy dzieliły ostatnie pociągnięcia pędzlem, ostatnie szlify od otwarcia klubu „AKME”. Ten nie kończący się remont wydatnie skrócony został dzięki pomocy studenckiej braci, która bardzo serio potraktowała apel opadającej z sił Rady klubu. Te sekundy zadecydowały, że 15 XII 73 na inauguracji pracy Klubu mogła wystąpić ze swym pierwszym programem nasza studencka pantomima — Studio Sztuki Gestu „SALTATOR”. W sali wystawowej otwarto kolejną wystawę malarstwa Ryszarda Ducha.

Podczas pamiętnego „Balu Przedsejsynego” w nieznanych okolicznościach nasz reporter stanął oko w oko na parkiecie Klubu AKME w niezwyklej jak na tę porę roku i dnia (a była to prawie północ) zjawiskiem, jakim był BYŁY KIEROWNIK KLUBU AKME MAREK BŁASZCZYK! W przyjacielskiej i serdecznej atmosferze, przy pełnym porozumieniu obu stron (nie było fula) gorączkowo dyskutowano nad pięknym rozwojem naszego studenckiego przybytku kultury.

Fot. M. SIUDYM



słowo
na pokuszenie wodzi
zwodzi
zawodzi
w ogniu nie pali się
a wiem że łatwopalne
podsypane krzykiem
milknie

Obiecana

powiedział
oto moja ziemia
pracuj w pocie czoła
spojrzałeś
stała w słońcu
potem przyszedł deszcz
rodziły się i opadały liście
spojrzałeś
nie było GO
nie było słońca
nie było liści

wigilia

Janinie

domowe progi szare i struchlałe
ojca głos się łamie w słowa
kiedy pod choinką
odbitą w lustrach okien
dzieli nas oplatkiem
w doniczkach mirty jak złe znaki
przywołani ze świata
za rodzinny stół
patrzymy w puste krzesło
wtedy

matka
wraca z tulaczki
i zasiada
słychać
wola nas
najciszej
cisza
w sadach zjawy drzew i noc

AGNIESZKA SUSŁOWICZ

Dodatek specjalny redaguje zespół w składzie: Teresa Białow, Bogdan Czopowik, Lilliana Drozdowska, Józef Grzybowski, Franciszek Gryzwacz (kier. zespołu redakcyjnego), Mirosław Jasielciewicz, Halina Olech.

ZGPWr. Zam. 3180/74 P-5

MUZKA i kultura

Wojciech Aleksiewicz

Muzyka jest jedną ze sztuk pięknych. Za pomocą misternych struktur i kombinacji dźwiękowych oddziałuje zarówno na uczucia jak i na intelekt. Będąc ważnym składnikiem kultury, obrazuje jej poziom i tradycje. Właśnie. Poziom muzyczny może świadczyć o poziomie kulturalnym. „Powiedz mi, jaki rodzaj muzyki lubisz, a powiem ci, kim jesteś”.

Jak jest z tą muzyką u naszych studentów? Czy można mówić o muzyce studenckiej? Chciałbym właśnie wprowadzić ten nowy termin — „muzyka studencka” obejmujący zarówno piosenkę, jak i produkcję naszych muzycznych zespołów, muzykę serwowaną w klubach, słowem — wszystko dotyczące relacji „student — muzyka”. Jako że studenckie życie kulturalne koncentruje się w klubach, na ich działalności muzycznej chciałbym się skupić. Oczywiście będą to rozważania nieco zawężone, dotyczyć będą bowiem tylko naszych klubów uczelnianych. Skądinąd jednak wiadomo, że kluby Politechniki mają w środowisku wrocławskim status najlepiej działających, sądząc więc, że większość spostrzeżeń i uwag można śmiało uogólnić.

Na początek więc — studencka twórczość muzyczna. Czy aktualnie istnieje? Tradycje mamy, a jakże. Znały się w kraju zespoły wywodzące się z naszej Uczelni. Był więc „Romuald Roman” ze swoimi eksperymentami, „Elar” (Elektronika-Architektura), doskonałe piosenki „Elity”, która teraz przeszła już na zawodowstwo. A dziś? Dziś studencki ruch muzyczny mocno podupadł. „Złote Spinki” uczą się, Marek Popkiewicz („Ad libitum”) dziś pisze: „...byłem kiedyś studenckim piosenkarzem”. Cóż więc aktualnie mamy? Chór Politechniki?

Musimy się jakoś ratować, obejmujemy więc patronat nad zespołami już profesjonalnymi (wszak: „z braku laku i rak ryba” — mówi nowe polskie przysłowie): „Big-Bandem WROCLAW”, zesp. „Sami Swoi”, czy „Spisek Sześciu”. Wkrótce najprawdopodobniej będziemy firmować ich działalność, zapewniając im pomoc i częstą konfrontację ze studencką publicznością w klubach. Chociaż... już coś przebakują w „Kurancie” o tworzącej się tam autentycznej studenckiej, twórczej (jak się to dumnie określa) grupie jazzowej. Ano poczekamy, zobaczymy.

W „Telemiku” i w „Kurancie” prowadzone są równoległe pożyteczne cykle zbliżone formą do wykładów z umuzykalnienia. „Telemik” obrał sobie za specjalność muzykę poważną. Organizuje się tu tzw. czwartki muzyczne — cykl imprez prowadzonych przez studentów naszej PWSM. Częste spotkania i prelekcje z ilustracjami płytowymi, jak i występy zespołów kameralnych mają nauczyć studentów odróżniać Bacha od Offenbacha. Prócz tego w klubie czynione są próby syntezy muzyki z malarstwem i rzeźbą, coś na wzór nowatorskich dokonań Marka Dyżewskiego. Organizatorzy nie są jednak zbyt zachwyceni frekwencją. „Kurancie” natomiast nastawił się na zgoła inny kierunek muzyki — na jazz — kierunek niejako przypisany kulturze studenckiej. Kiedy ustała działalność Klu-

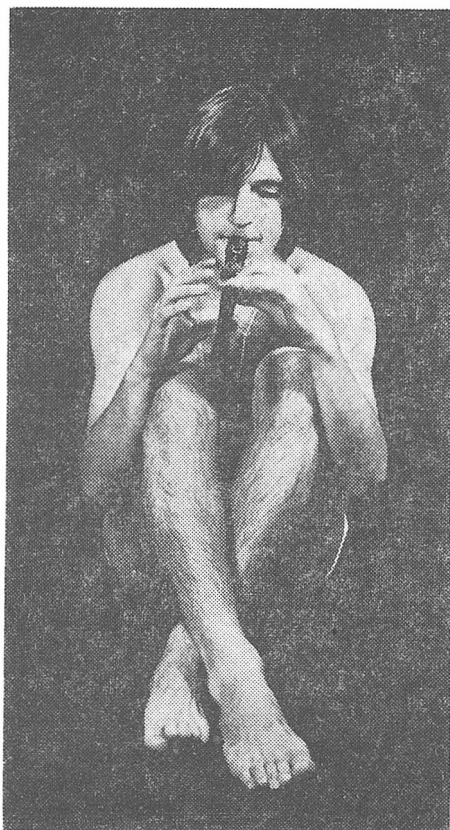
bu Jazzowego „Palacyk”, Wrocławski Klub Jazzowy zaczął ulegać stopniowej degeneracji. Dziś, mimo „patriotycznego” gestu środowiska jazzowego na dwóch ostatnich festiwalach „Jazz nad Odrą” (pojawienie się zespołu pod frywolną nazwą „Kupa WKJ”), praktycznie nie istnieje.

W „Kurancie” działa Stowarzyszenie Jazzowe Politechniki, którego ambicją jest przejęcie tradycji WKJ-tu, kontynuacja jazzowej działalności „Palacyku” z wykorzystaniem bogatych doświadczeń poznańskiego klubu „Od Nowa”. Organizowane więc są tradycyjnie środowowe prelekcje połączone z dyskotekami jazzowymi, zapraszane są zespoły wrocławskie oraz uznane sławy polskiego jazzu. Niestety, na prelekcjach spotykają się w zasadzie jedynie organizatorzy, pustkami świecą sale na koncertach dobrych, choć mniej znanych zespołów, za to na uznane sławy, z czysto snobistycznych pobudek, wala tłumy. Chciałbym tu opisać typową reakcję środowiska na jedno z wydarzeń muzycznych. W pewną grudniową środę Stowarzyszenie Jazzowe zorganizowało kolejną imprezę. Na początek — prelekcja ilustrowana bogatą płytoteką (tym razem — Louis „Satchmo” Armstrong), później — występ znanego Kwartetu Zydronia — najlepszego polskiego banjolisty, na zakończenie — występ ciekawej, nowej wrocławskiej grupy — „Peccavi” wywodzącej się niejako z Teatru Awangardy Instrumentalnej „Freedom” Ryszarda Gwalberta Miśka. Prawdziwe święto jazzu w „Kurancie”. Studenci tymczasem dają dowód swej zadziwiającej indolencji. Całą publiczność stanowiły bowiem osoby towarzyszące zespołom (przeważnie reprezentacyjne dziewczyny), działacze z klubu oraz kilka zablakanych dusz z akademika. W tej sytuacji anons na afiszach „bilety do nabycia...” nabierał znaczenia zaiste humorystycznego. Jednak w czasie „Jazzu nad Odrą” okaże się nagle, że jazzem interesują się wszyscy.

Obserwowałem wiele studenckich spotkań z jazzem. Zadziwiająco nieobycie słuchaczy. Czyżby nigdy nie słyszeli o zwyczaju nagradzania błyskotliwych, co ciekawszych solówek — brawami? Jest to przecież cecha tak charakterystyczna dla tego rodzaju muzyki — wyraz spontaniczności odbioru. Na „JnO-73” w czasie występu kwartetu Helmuta Nadolskiego — „Sesja-72” rozlegały się gwizdy, i to wcale nie pojedyncze. Na występach „Ossjan” w klubach — z widowni padały plebejskie docinki i głupie nawoływania. A przecież występ w klubie odbywać się powinien w specyficznej atmosferze więzi publiczności z muzykami, ułatwiającej rozegranie się i swobodę wykonawcom, sprzyjającej tworzeniu „nowego”. Występy takie łatwo mogłyby przerodzić się w jamy. Jednak niektórzy studenci wykorzystują swobodną klubową atmosferę do zamyślenia swojej niskiej kultury. Brak zapotrzebowania na „muzycznie uświadamiające” prelekcje skutkuje na studentach srogo. Bo też skutkiem czego może być fakt, że Janusz Laskowski — pocztówkowy król polskich bazarów stał się nagle wziętym piosenkarzem środowiska studenckiego (pomijając rozmarzone wielbicieli z prowincjonalnych szkół średnich)?

Dużą rolę w kształtowaniu muzycznej osobowości i wrażliwości spełniają „ubawy”. Przeważająca ich część, to tak zwane — dyskoteki. Idea sama w sobie — dobra. Ale czym właściwie wyróżniają się studenckie dyskoteki? Otóż

Fot. K. LUKASIEWICZ



niczmy. Tuzinkowe, tandetne nagrania, niczym. Tuzinkowe, tandetne nagrania „normalnych” dyskotek. Chcesz poba-
wić się przy dobrej muzyce, idź do klubu Dolmelu lub na dyskotekę wę-
gierską. U nas króluje Garry Gluter, Tee Rex, Slade, jednym słowem an-
gielskie tzw. „bubble gum”, przy czym
starannie pomijane są utwory polskie. Brak dyskotekom odpowiednich disc-
-jockeyów. Prowadzący, jakby od nie-
chcenia rzuci czasem znużonym gło-
sem: „gra dla was...”, a przecież nie
zaszkodziłby króciutki, błyskawiczny
komentarz o tym, czego słuchamy. My-
ślę, że dyskoteka powinna być przemy-
ślana, mieć jakiś motyw przewodni. Taki
mini-przegląd współczesnej mu-
zyki młodzieżowej nie musi wcale
przypominać grochu z kapustą.

Chciałbym tu zwrócić uwagę na je-
szcze jeden bardzo ważny problem, na
tzw. kulturę podania.

Z reguły człowiek siedzący przy apa-
raturze, to „szalony elektroakustyk” ze
znanej piosenki „Tropicale Tahiti...”.
Rozumuje on prosto: żeby wzmacniacz
był efektywnie wykorzystany, musi pra-
cować na „full”. Czy chodzi o to, aby
być ogłuszonym, czy o to, aby jednak
posłuchać? Jest rzeczą zrozumiałą, że
motryczna muzyka, w rodzaju hard
rock, czy modny obecnie rock and roll
mają to do siebie, że lubią być poda-
wane nieco głośniej. Bez przesady jed-
nak, moi panowie!

Tragicznie wygląda sytuacja zespołów
muzycznych. Ci, którzy brali udział w
pionierskim programie pt. „PSYCHE-
DELIC” wspomnianej już grupy „Ro-
muald Roman”, na pewno pamiętają
jakie to było przeżycie. Szokujące dzia-
łanie dźwiękiem, kolorem i obrazem.
Słuchacze (i widzowie zarazem) zdawali
sobie sprawę z tego, że uczestniczą w
autentycznym procesie tworzenia, w
czymś nowym, oryginalnym i pięknym.
Dziś mamy trzy mrugające w takt mu-
zyki, kolorowe reflektory, a furorę robi
„Taxi Combi” — grupa prezentująca
muzykę równie ambitną jak jej na-
zwa. Nie sposób nie wspomnieć jednak
o chlubnym wyjątku — klubie „Znicz”,
który organizuje wieczorki taneczne dla
miłośników tańca towarzyskiego. A
więc, i tanga, i wale — tańce salonów.
Tu również odbywają się konkursy o
nagrodę JM Rektora.

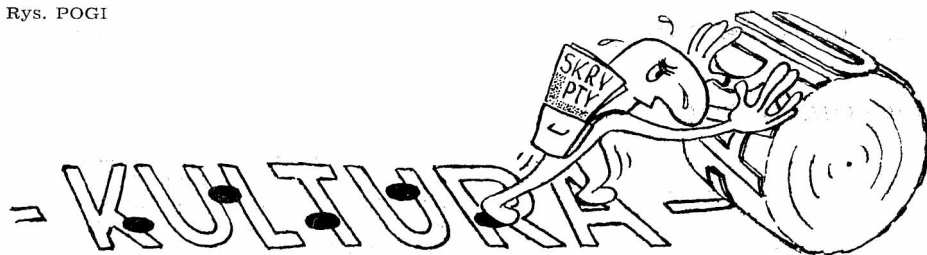
Istotną sprawą jest aparatura nagłaś-
niająca. Skarżą się muzycy występują-
cy w klubach na fatalny stan sprzętu
elektroakustycznego. A ludzi, którzy
znają się na obsłudze wzmacniaczy —
brak. Nawet wystawianie jest pro-
blemem.

Często zespoły korzystają z klubo-
wych pianin. I tu sytuacja jest wręcz
tragiczna. Pianina „poniemieckie” są z
reguły rozstrojone i zdezolowane, nowe
„Legnice” słyną ze swej niskiej jakości
i już po krótkim czasie nie przypomi-
niają instrumentu. Zakup nowych, do-
brych pianin — to marzenie ściętej
głowy ze względu na bardzo wysokie
ceny.

Ważną rzeczą w studeckim ruchu mu-
zycznym jest również sprawa koordy-
nacji imprez. Pomimo niewielkiej ich
liczby zdarzało się nieraz, że student
stał z opuszczonymi rękoma nie wie-
dząc, którą z imprez wybrać, gdyż od-
bywały się one równocześnie w dwóch
miejscach. Dotyczy to zwłaszcza na-
szych klubów — „Kuranta” i „Wiklin”.

Pokrewnym problemem jest polityka
reklamowa. Jak dotąd informacja o im-
prezach i ich reklama na zewnątrz
(akademików) kuleje. Przydałoby się
organizatorom nieco zmysłu przewidy-

Rys. POGI



wania. „Grupa Niemen” reklamy nie
potrzebuje, gdyż informacja o mającym
się odbyć występie i tak błyskawicznie
rozejdzie się z ust do ust, klub będzie
pełkał w szwach, odpierając równocze-
śnie coraz to nowe ataki odesłanych
z kwitkiem. Tu potrzebna jest rekla-
ma mądra. Reklama imprez, które jej
potrzebują — często bardzo wartościo-

wych i ciekawych. Być może sytuacja
poprawi się wiosną po utworzeniu Cen-
trum Informacji Klubowej.

Tyle uwag krytycznych. A wnioski?
Te, niech wyciągną działacze komisji
kultury, klubów i wreszcie... sami stu-
denci.

WOJCIECH ALEKSIEWICZ

ONA - albo spotkanie w stolicy

*Z głową pełną pomysłów, samotny
siadł przy barku na wysokim stołku.
Rozejrzał się i dostrzegł ją obok. Sie-
działa samotna — piękna blondynka o
bardzo wykształconych kształtach. Spoj-
rzała na niego. Pełnia tego spojrzenia
była proporcjonalna do pustki panują-
cej w jego kieszeniach.*

— Whisky and soda! — krzyknął —
bez whisky — dodał cichutko w stronę
barmanki. Ona spojrzała na niego i w
jej oczach wyczytał pytanie: „co ro-
bisz dzisiaj wieczorem?” Nie, taka dama
z pewnością chciałaby zapytać: „Co pan
dzisiaj zamierza robić?” — poprawił swą
pierwszą myśl. Wodę sodową pił jak
wódke, krzywiąc się niemiłosiernie i
zasłaniając dłonią bąbelki unoszące się
z dna. Uśmiechnęła się do niego ze
współczuciem. Ruch jego ręki przy-
ozdobionej w literatkę oznaczał, że pije
jej zdrowie. Ona była niewątpliwie
emancypantką, gdyż pokazała swą ma-
łą, pustą rączkę chcąc zapewne rzec:
„nie piję” lub może coś innego. Czas
jednak nieubлагanie płynął i czuł, że
musi przystąpić do generalnego ataku!

*Ona jednak wyprzedziła go i zapyta-
ła z przecudnym uśmiechem:*

— Do you speak english?

Oniemiał i uśmiechnął się.

— Parlez vous francais?

*Nie wytrzymał i dwa semestry spę-
dzone na lektoracie dały znać o sobie:*

— Gaworicie po rusku?

— Co Polak? — krzyknęła piękna nie-
znajoma — zmiataj pan do domu, to
miesce jest zajęte, ja tutaj, tego, nie
będę zadawała się z byle kim i... od-
wróciła się tym, czym damy nie po-
winny się odwracać.

*Stąd wniosek: gdy jedziesz do stoli-
cy, powtórz wiadomości z lektoratów
języków zachodnich lub nausz się dob-
rze rosyjskiego.*

GRZEGORZ DĄBROWSKI

Jan Strządała

W stronę przypływu

*Nasze twarze tak często napięte
Wybiegają w stronę przypływu
Nagie
Nasze oczy jak pustynia pełne
Napelniają się po brzegi cieniem
Lęku
A w czekaniu nadcierpliwie
Mają miękkość warg pijanych
Stoną
Otwieram więc dłonie
I rzucam w naszą stronę
Sekundy
Chwil wymyślonych z deszczu
Zamykam oczy i piję
Razem z wami
Kroplę po kropli
A kiedy mi się przyśni
Tańcząca Venus z Milo
To cicho
Najciszej powiedz
Proszę pana
Już wszyscy wyszli
Już czas
Już się skończyło.*

Światło śmierci

*W przybliżaniu światła
Plótno za plótnem kładziesz
Barwę od barwy granicą
Czasu narodzin krańcem
I tym piękniejesz
Dopelniając prostej
I światło milczy
W żrenicy grobowcu
Bielą do czerni pulsuje
I pęka tylko
Niebem krwią i słońcem
Gdy nożem prawdy
Zamarkujesz sztychy
Odsłaniasz wtedy
Modlące się w ciszy
Pejzaże łak wiekuistych
Poplamione kłamstwem
Ty krzyczysz
Lecz piorun nie idzie od oczu
W tym krzyku
Studnia smutku głęboka
Jak wyrok
Rzucony przeciw Bogu.*

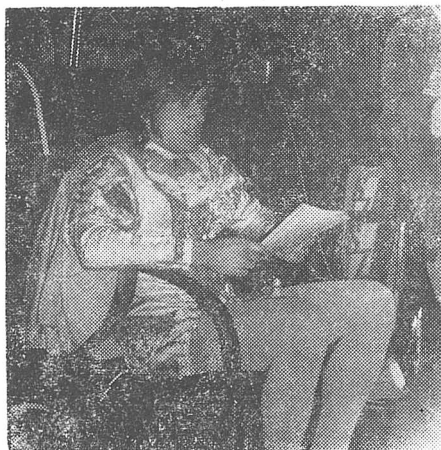
JAN STRZĄDAŁA

Alina Kisielewicz

Dorota Grabarczyk

W co się bawić?

Zdjęcia A. MACIEJOWSKI



Pisanie na temat popularnego „Telemika”, czyli klubu studenckiego w T-2, wydało nam się sprawą dość pasjonującą i nie sprawiającą większych trudności. Pilnie śledziliśmy jego działalność w ostatnim okresie — w listopadzie i grudniu „zaliczyliśmy” parę imprez, a następnie z bagażem doznanych wrażeń i nasuwających się wniosków udaliśmy się do mieszkańców akademika na małą konfrontację poglądów.

Rozmowy, a nawet zacięte dyskusje w jakie się wdaliśmy z mieszkańcami T-2 zburzyły nasz — odbiorców masowej rozrywki serwowanej przez kluby studenckie — spokój, zniweczyły naszą dotychczasową opinię na temat mentalności przeciętnego studenta, a co najgorsze — postawiły przed koniecznością dokonania obiektywnej oceny klubu, co wobec sprzecznych opinii nie było proste.

„Telemik” jest klubem o bogatej tradycji i świetnej przeszłości. Przed kilkoma laty uważany był za jeden z najlepszych klubów studenckich w Polsce, skupiający stałe grono zapaleńców z kierownikiem, słynnym „szefem w kufajce”, czyli Frankiem Nowakiem na czele. Jak przypominają kroniki i pamiętają starsze roczniki studentów, działalność klubu i jego olbrzymia popularność nie opierała się jedynie na samych imprezach kulturalnych. Sukces polegał na tym, że klub w latach 1967-68 stanowił nie tylko miejsce biernego konsumowania i rejestrowania treści i wrażeń na zasadzie: widownia — produkujący się profesjonalści, ale miał również charakter klubu dyskusyjnego z atmosferą pokrewną kawiarniom cyganerii. Był miejscem spotkań towarzyskich, spontanicznych i nietragedycznych zabaw, długich rozmów przy grzańcu i świetnej muzyce, koncertów bardzo znanego wówczas zespołu „Nurt”. Tego niepowtarzalnego klimatu nie odnajdujemy w dzisiejszym „Telemiku”, dają się jednak zauważyć starania organizatorów, zmierzające do wyciągnięcia klubu ze stagnacji i martwoty, w jakiej się znajdował od okresu świetności do roku jeszcze ubiegłego. Jest to zresztą dolegliwość większości wrocławskich klubów studenckich.

Rada Uczelniana dążąc do przywrócenia klubom ich ważnej funkcji — ośrodków kultury studenckiej, postanowiła narzucić poszczególnym klubom pewien profil działalności. „Telemikowi” przypadła w udziale rola mecenasa plastyki, i to zarówno w sensie działalności twórczej, jak również szerokiej działalności propagatorskiej. Obecny kierownik klubu — Krzesiński bardzo konsekwentnie trzyma się założonego profilu, organizując m.in. stały cykl pod tytułem „Przez galerie Europy” poświęcony historii sztuki. Są to cotygodniowe spotkania z wykładami Uniwersytetu, prowadzone ciekawie, często urozmaicane przeżościami. Dla szerszego grona odbiorców przeznaczony jest cykl inny, mianowicie „Architektura wewnątrz”. Na spotkaniach tych można zdobyć wiele cennych i użytecznych informacji z dziedziny urządzania mieszkań, a więc uczyć one estetyki i smaku w doborze mebli, wykorzystania barwy, światła i dekoracji. Jak poinformował nas kierownik, ambicją klubu jest roztoczenie opieki nad twórcami — plastykami rekrutującymi się spośród studentów. Można już mówić o stałej grupie amatorów, głównie elektroników i architektów, parających się plastyką. Mają oni zapewnioną

stałą i fachową opiekę studentów PWSSP, odpowiednie materiały, a przede wszystkim możliwość wystawiania swoich prac, w nabierającym cech małego wernisazu — „Telemiku”.

Forma wypowiedziania się poprzez twórczość artystyczną jest jedną z najtrudniejszych, a jednocześnie najbardziej frapujących, czego dowodem są liczni samoucy — amatorzy. Wymaga zaangażowania, pasji, autentycznego talentu i dlatego ogranicza liczbę zainteresowanych do wąskiego grona. Dobrze więc się stało, że tymi nielicznymi studentami zajął się właśnie „Telemik” i umożliwił rozwój ich talentów.

Z imprez o tematyce popularyzującej sztukę wymienić należy planowany na rok bieżący cykl pt. „Pomniki sztuki w Polsce”. Do tradycji natomiast należą cotygodniowe czwartki muzyki poważnej, czyli mini-recitale lub koncerty kameralne w wykonaniu studentów PWSM, oraz regularne projekcje filmów fabularnych, krótkometrażowych czy rysunkowych typu „Bolek i Lolek”, przyjmowanych z wielkim aplauzem.

Tyle, jeśli chodzi o zaplanowaną i konsekwentnie — trzeba przyznać — realizowaną działalność kulturalną.

Większość naszych rozmówców potwierdziła dużą wartość tych imprez, ale z powątpiewaniem odnosiła się do potrzeby organizowania ich w klubie, wysuwając jako argument bardzo nieliczną frekwencję studentów na imprezach. Studenci ci, opierając się na własnych i kolegów doświadczeniach uważają, że do „Telemika” na tego typu imprezy trafiają tylko zainteresowani daną dziedziną sztuki, nieliczni zaś — na zasadzie przypadku.

Z toku rozmowy wynikało, że gros studentów ma bardzo znikome — poza nauką zainteresowanie.

Trzeba przyznać rację naszym rozmówcom, gdy mowa o braku spontaniczności, żywiołowości i szerszych zainteresowań młodzieży. Ustawiczny brak czasu tłumaczy studentów młodszych lat jedynie, którzy przeładowani pracą, nastawieni są bardziej na imprezy typu lekkiego. Jeżeli chodzi więc o spotkania z profesjonalistami, sprawa przedstawia się nieco lepiej pod względem frekwencji. Same przekonałyśmy się o tym na koncercie duetu gitar klasycznych „Albert-Ströbel” + W. Nahorny, kiedy z braku miejsc musiałyśmy stać na końcu zapelnionej młodzieżą sali klubowej. „Chwytają” więc te imprezy, w których biorą udział uznane sławy typu wyżej wymienionych czy też M. Rodowicz lub Cz. Niemien. A więc, do pełnego rejestru naszych narodo-młodzieżowych wad, obok głównej — braku zainteresowań, dochodzi jeszcze pomniejsza — łatwa fascynacja idolami i autorytetami.

Summa summarum, nie jest to cieszące. Cieszy nas jednak fakt, że w klubach rozwijać może swoje zainteresowanie choćby tylko wąska grupa młodzieży. Szkoda, że ludzie ci, swym zapałem twórczym nie potrafią pociągnąć za sobą szerszego grona studentów, zwłaszcza tych spoza akademików. Wydaje nam się, że konieczną byłaby szersza propaganda i informacja dotycząca poszczególnych imprez, a problem ten nie jest najlepiej rozwiązany.

ALINA KISIELEWICZ
DOROTA GRABARCZYK

NASI NAJLEPSI



W Instytucie Energoelektryki od pewnego już czasu głośne jest jej nazwisko. Bo to, i dziewczyna, i przewodnicząca Rady Instytutowej (sic!). Ala KONOPKO, bo o Niej mowa, jest na trzecim roku. Ostatnio otrzymała Specjalną Premię Naukową JM Rektora. Jest zdolna. Jak sama mówi — „zdolna do wszystkiego”. I działa. Już od pierwszego roku studiów pracuje w Wydziałowej Komisji Stypendialnej i w Organizacji. A teraz będzie tzw. „nieśmiertelnik”, czyli w ostatniej sesji — średnia 4,8! Ala mówi mi o dużej dozie szczęścia przy zdobywaniu zaliczeń i... egzaminatorów, ale dobrze ją znając, słowa te traktuję humorystycznie. Ma czas na koszykówkę. Pasjonuje się malarstwem, a aktualnie Kometa Kohoutka i światowym kryzysem energetycznym.

A.W.



Henryk IDZIAK jest studentem IV r. Wydziału Mechanicznego, Instytutu Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn. Jego średnia za dotychczasowy okres studiów — 4,52. W przyszłości ma zamiar pozostać na Politechnice i dalej doskonalić się w swojej specjalizacji, która bardzo go pasjonuje. Heniek interesuje się poza nauką i pracą społeczną (aktualnie jest przewodniczącym RI SZSP, w latach ubiegłych był przewodniczącym Komisji Ekonomicznej) — historią architektury, która w powiązaniu z turystyką daje mu dużo satysfakcji. Jak mówi — nie ma szlaku w całych Sudetach, którym nie szedł już kilkakrotnie. Poza tym, z zakresu historii, szczególnie ciekawia go walka na marzu w okresie dwóch ostatnich wojen światowych. Należy do tych studentów, którzy rokrocznie uzyskują nagrody Rektora. Brawo!

D.G.



Rys.
POGI



Andrzej KAWKA jest studentem III r. Wydziału Mechanicznego w Filii Politechniki w Kłodzku. W ostatniej sesji uzyskał średnią z egzaminów — 5,0, co — jak twierdzi — jest wynikiem systematycznej nauki, przygotowywania się nie tylko do ćwiczeń, ale również do wykładów. Ten sposób nauki daje mu gwarancję terminowego uzyskania zaliczeń i poważnie ułatwia zdanie egzaminów. Andrzej chętnie bierze udział w pracach społecznych, ale zaznacza, że tylko wtedy, gdy uzna je za konieczne i pożyteczne dla ogółu. Interesuje się sportem, muzyką, malarstwem oraz uprawia żeglarstwo. Po ukończeniu studiów zamierza zdawać na dziennikarstwo. Andrzej, w imieniu swoich koleżanek i kolegów zgłasza kolejny już na naszych łamach apel do RU SZSP o zwiększenie zainteresowania studentami filii.

R.W.

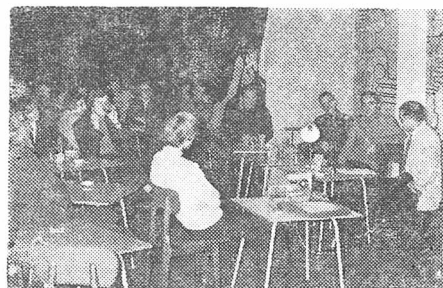


Kazimierz WILKOSZ jest studentem III r. Wydziału Elektroniki. W każdym semestrze uzyskuje wysoką średnią (ostatnio 4,8). Warto zauważyć, że wybór kierunku studiów nie był dziełem przypadku; elektronika „urzekła” Kazię już w szkole średniej. Obecnie jego zainteresowania rozszerzyły się, obejmując również nauki biologiczne i humanistyczne. „Zdobywanie wiedzy ogólnej jest konieczne — powiedział — aby nieustannie rozszerzać swój światopogląd. Mam na myśli przede wszystkim nauki humanistyczne, bo tych nam na politechnice najbardziej brak. Oprócz literatury, która pomaga mi zdobywać doświadczenia życiowe, moim hobby jest muzyka.” Koledzy z roku cenią go za skromność, solidność i pracowitość. Po otrzymaniu dyplomu, mimo że pochodzi z drugiego końca Polski, zamierza pozostać na Dolnym Śląsku.

W.P.

SEP

W wyniku starań sekcji studenckiej Koła SEP nr 24 przy Wydziale Elektrycznym Politechniki Wrocławskiej, w dniu 11 XII 73 r. w klubie DS T-3 „Kurant” zostało zorganizowane spotkanie młodzieży akademickiej z Prezesem ZOW SEP prof. zw. Janem Trojakiem. W spotkaniu udział wzięli licznie zgromadzeni studenci oraz członkowie Zarządu Oddziału Wrocławskiego SEP. Przewodniczący Komisji d/s Młodzieży i Studentów ZOW SEP i jego zastępca. Całość prowadził Przewodniczący Koła mgr Stanisław Dolżycki. Na wstępie Profesor przekazał swoje wrażenia z podróży po Norwegii, wzbogacając je przepięknymi, kolorowymi przeżyciami. Obejmowały one szeroki wachlarz informacji o życiu gospodarczym Norwegii, zwyczajach i mentalności jej mieszkańców, a także eksponowały piękno skandynawskich krajobrazów.

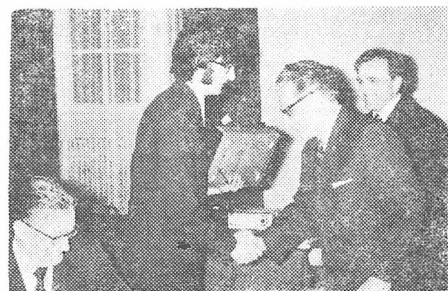


Prezes ZOW-SEP prof. Jan Trojak wśród młodzieży w klubie DS-3 „Kurant”

Na zakończenie udanego spotkania poruszono wiele problemów związanych nie tylko z tematem spotkania, lecz również z aktualną sytuacją w krajowej energetyce i kryzysem energetycznym na świecie. Profesor Trojak udzielił wyczerpujących odpowiedzi na nurtujące młodzież pytania i nakreślił perspektywy rozwoju energetyki w Polsce i na świecie.

BOŻENA KOWALCZYK

Miła i pożyteczna inicjatywę kontynuuje Wrocławski Oddział SEP organizując konkurs z nagrodami na najlepszą pracę dyplomową absolwentów technicznych szkół średnich o specjalności elektrotechnicznej. Fundatorami nagród rzeczowych są: Wrocławski Oddział SEP-u i zakłady opiekuńcze szkół.



Prof. Jan Trojak wręcza nagrodę za najlepszą pracę dyplomową

zdjęcia R. KOWALCZYK

Na uroczystym spotkaniu z młodzieżowymi delegacjami techników, które odbyło się 29 XI 73 r. w sali konferencyjnej Politechniki Wrocławskiej, prof. zw. Jan Trojak wręczył nagrody i dyplomy. Zorganizowana w sali wystawa wyróżnionych prac końcowych umożliwiła uczestnikom zapoznanie się z ciekawymi rozwiązaniami. Były to przeważnie interesujące urządzenia elektryczne zbudowane w oparciu o rozwiązania teoretyczne. Pierwszą nagrodę — gramofon „Mister-Hit” przyznano absolwentowi Technikum Kolejowego, koledze Janowi Ryczkowi. Bardzo interesujące prace przedstawiły koleżanki Joanna Chrust i Teresa Michnik.

Spotkanie zakończyła dyskusja na temat pracy studentów w szeregach SEP-u. Poruszano również aktualne problemy związane z udziałem elektrotechniki w rozwoju gospodarczym kraju, w szczególności polskiej motoryzacji i energetyki.

ROMAN KOWALCZYK



Sprawy osobowe

Decyzją Rektora, w Instytucie Energoelektryki Politechniki Wrocławskiej obowiązki zastępcy dyrektora do spraw kształcenia kadry naukowej będzie pełnił doc. dr Jan Pytel od 1 I 1974 r. do 31 VIII 1975 r.

★

Dr inż. Waldemar Musiał został 20 XII br. mianowany pełnomocnikiem do spraw studenckich w Instytucie Budownictwa na okres od 1 II 74 r. do 31 VIII 75 r.

Nauczanie

Około 180 słuchaczy liczą studia podyplomowe w naszej Uczelni. Obecnie studia te prowadzą następujące instytuty Politechniki: Architektury i Urbanistyki, Budownictwa, Geotechniki, Inżynierii Ochrony Środowiska, Energoelektryki, Inżynierii Lądowej, Techniki Ciepłej i Mechaniki Płynów, Telekomunikacji i Akiustyki.

Organizacje społeczne

Spośród pracowników Politechniki Wrocławskiej do rad narodowych zostali wybrani:

do Wojewódzkiej RN	— doc. dr inż. Roman Szloch
do RN m. Wrocławia	— doc. dr inż. M. Teisseyre
do DRN-Sródmieście	— mgr inż. Andrzej Jasiński,
„	— mgr inż. Henryk Górecki,
„	— doc. dr inż. Ryszard Zabiński
do DRN-Krzyki	— mgr inż. Krystyna Gesler-Wiejak

Inne

Lekarskie laboratorium analityczne dla pracowników i studentów Politechniki zostało przeniesione z domu akademickiego T-4 do przychodni obwodowej przy pl. Katedralnym. Pomieszczenia po laboratorium zostały przydzielone Klubowi Filmowemu przy Radzie Uczelnianej SZSP oraz Studenckiemu Teatrowi Pantomimy „Gest” działającemu pod patronatem RU SZSP.

★

W ramach współpracy

Konferencje

Z okazji 25-lecia badań nad polimerami w Politechnice Wrocławskiej odbyła się konferencja naukowa zorganizowana przez Instytut Technologii Organicznej i Tworzyw Sztucznych. Równocześnie z konferencją Instytut przygotował wystawę obrazującą swój 25-letni dorobek naukowy w dziedzinie polimerów.

★

W dniach 4–10 XII ub. r. w gmachu głównym wystawione były francuskie wydawnictwa naukowo-techniczne. Książki udostępnił Konsulat Francuski w Krakowie.

Współpraca z zagranicą

Prorektor doc. Bogusław Kędzia przebywał w Uniwersytecie w Palermo w celu omówienia zasad i form współpracy.

Politechniki Wrocławskiej z Politechniką Kijowską, w dniach 3 II – 9 II br. bawił we Wrocławiu zespół artystyczny studentów i pracowników Politechniki Kijowskiej.

★

W dniach 18–19 I w gmachu Politechniki odbyło się seminarium filmowe pt. *Polska współczesna w filmie telewizyjnym* z udziałem reż. Janusza Kondratiuka, aktora Zdzisława Maklakiewicza, red. Jacka Fuksiewicza i Kazimierza Żorawskiego.

Sprawy studenckie

W dniach 17 VIII–8 IX 73 r. w Kłodzku odbył się IV Ogólnopolski Obóz Naukowy Studentów Historii Sztuki Konserwacji i Architektury, zorganizowany przez Komitet Koordynacyjny Kół Naukowych Historyków Sztuki przy ZG SZSP przy współpracy z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków we Wrocławiu. Uczestnicy obozu przeprowadzili inwentaryzację zagrożonych zniszczeniem zabytków architektonicznych. Praca ich spotkała się z bardzo wysoką oceną miejscowych władz wojewódzkich, powiatowych i gminnych, które zwróciły się z prośbą o kontynuowanie tej akcji w latach przyszłych.

Sukcesy obozu są w dużej mierze zasługą jego ofiarnej Rady Naukowej, której członkami byli m.in. pracownicy naukowcy Instytutu Historii Architektury, Sztuki i Techniki: dr inż. arch. Ernest Niemczyk i mgr inż. arch. Stanisław Medeksza.

W tegorocznym obozie wzięła również udział grupa studentów naszej uczelni — członków Koła Naukowego Architektów. Spośród nich wyróżnili się Kol. Kol. Roman Grudziecki, Ewa Kwiatkowska, Tadeusz Sawa-Borysławski i Elżbieta Waclawek, którzy otrzymali za dobrą pracę i wzorową postawę na obozie nagrody ZG SZSP.

PTTK

Dnia 2 marca br. odbędzie się zebranie sprawozdawczo-wyborcze Oddziału PTTK przy Politechnice Wrocławskiej, połączone z wieczorem klubowy. Ustępujący Zarząd Oddziału przedstawi na nim efekty swej dwuletniej działalności.

Dzięki rozwinięciu ścisłej współpracy z Radą Zakładową ZNP, praca Oddziału napotyka na mniejsze trudności, co pozwala organizować więcej atrakcyjnych imprez dla większej ilości członków PTTK i ZNJ. Oddział nasz posiada Komisje: Turystyki Górskiej, Krajoznawczej i Narciarskiej, dwa koła oraz klub żeglarski „Grot”.

Większość imprez organizowanych na przestrzeni minionych dwóch lat zdobyła sobie dużą popularność i stała się już imprezami tradycyjnymi. Komisja Turystyki Górskiej zorganizowała 16 pieszych wycieczek sobotnio-niedzielnich, dwa obozy wędrowne w Tatrach i po raz pierwszy — dwa kolejne rajdy Pracowników Politechniki w Sudetach. Komisja Krajoznawcza wykroczyła w swej działalności poza granice Dolnego Śląska, organizując 6 kilkudniowych wycieczek autokarowych. Na miejscu systematycznie (od jesieni do wiosny) spotykamy się z nią w Klubie Pracowniczym na spotkaniach klubowych.

Komisja Narciarska patronuje krótkim wyjazdom na narty, a ponadto zorganizowała 6 kursów narciarskich w Beskidach i po obu stronach Karkonoszy.

O wszystkich tych formach działalności Oddziału, ogólnych problemach PTTK i turystyki, perspektywach na przyszłość będzie okazją podyskutować na zebraniu. Zapraszamy więc kochających czynny wypoczynek i ciekawych świata, czyli wszystkich turystów na 2-go marca.

MAREK KUBICKI

Klub „BASZTA”

Fot. R. MAKOWSKI



Chciałbym na łamach Waszego Pisma serdecznie podziękować Dyrektorowi Instytutu Geotechniki d/s badań naukowych i współpracy z przemysłem — doc. dr inż. Jerzemu Chwastkowi, Kolegom — pracownikom Instytutu Geotechniki i Górnictwa oraz Studentom Wydziału Górniczego za pomoc w trudnych chwilach mojej choroby oraz bezcenną krew, która uratowała mi życie.

mgr inż. Andrzej Pendziaków
Z-d Geodezji Górniczej i Fotogrametrii
Instytut Geotechniki

Nagrody

Doc. dr inż. Ryszard Majchrowicz — z Instytutu Górnictwa Politechniki Wrocławskiej został laureatem I nagrody Centralnego Ośrodka Postępu Technicznego województwa katowickiego i „Trybuny Robotniczej” w konkursie na najlepszy projekt wynalazczy.

Współautorami nagrodzonej pracy pt. „Sposób wykonywania wodoszczelnych połączeń folii PCW jako powłoki hydroizolacyjnej w budownictwie górnym” są: mgr inż. Franciszek Misiąg, doc. dr inż. Eugeniusz Pożytek — Zakład Badań i Doświadczeń Budownictwa Górniczego — Mysłowice, mgr inż. Mieczysław Cieślak — Przedsiębiorstwo Budowy Szybów — Bytom.

Nową metodę zastosowano w 6-ciu kopalniach górnośląskich oraz przy odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie, co pozwoliło zaoszczędzić ponad 16 mln zł. Projekt może być zastosowany również w budownictwie nowych kopalń LGOM-u oraz w budownictwie powierchniowym, przemysłowym.

(—)

„Barburka”

15 XII 73 w gmachu NOT odbyła się tradycyjna „Barburka” na Wydziale Górniczym Politechniki Wrocławskiej.

Zdjęcia H. BOREK-PREK



Pochód gwarków, dialog Lisa-Majora z chórem autentycznie górniczym, skok przez skórę i przekazanie sztandaru Wydziału Górniczego studentom I roku wywarły jak zawsze ogromne wrażenie na wszystkich uczestnikach. Sprawna była organizacja i obsługa, trzy zespoły orkiestrowe zapewniły doskonałą ucztę dla ucha. Ciało jednak było głodne.

KONKURSY

Politechnika Wrocławska ogłasza Konkurs na wykonanie projektu:

- odznaki — przyznawanej studentom wyróżniającym się w czasie studiów w nauce i pracy społecznej,
- emblematu Politechniki Wrocławskiej,
- złotej odznaki Politechniki Wrocławskiej — przyznawanej według określonego regulaminu.

W konkursie mogą wziąć udział studenci, pracownicy oraz inne osoby. Prace należy składać do dnia 15 marca 1974 r. w Pionie Sekretarza Szkoły Politechniki Wrocławskiej, ul. Wybrzeże Wyspiańskiego 27, p. 129, gdzie można uzyskać szczegółowe informacje. Przewiduje się następujące nagrody w każdej kategorii projektu:

- 1 nagroda — 3.000 zł
- 2 nagroda — 2.000 zł
- 3 nagroda — 1.000 zł

SERWIS INFORMACYJNY RU SZSP

II PLENUM RU SZSP

18 grudnia odbyło się II plenum Rady Uczelnianej SZSP. Plenum podjęło uchwałę w sprawie podnoszenia wyników w nauce dotyczącą aktywizmu wszystkich szczebli SZSP działającego na Politechnice Wrocławskiej.

W Politechnice Wrocławskiej już od dłuższego czasu, zarówno w dyskusjach, jak i w codziennym działaniu preferowany jest model aktywisty umiejętnie godzącego pasję społecznikowską z dobrą nauką. Mogą o tym świadczyć między innymi wyniki Konkursu Kopernikowskiego i listy studentów nagrodzonych przez JM Rektora za dobre wyniki w nauce itp.

★

Wolna sprzedaż miejsc na wycieczki „zima-wiosna 74” rozpoczęła się 17 grudnia 1973 roku. Prowadzą ją agencje BPiT, „Almatur” oraz RU SZSP. Dokładne informacje: BPiT „Almatur”, Wrocław, ul. Kościuszki 35, tel. 430-03.

★

Dni Kultury Politechniki, które rozpoczną się 23 II br. inauguracyjnym Balem Działacza, trwać będą aż dwa miesiące. Finał przewidziany jest na 26 i 28 IV br. Dni obejmą takie imprezy jak: Liga Wydziałów, Turnieje Domów Studenckich Politechniki i Akademii Medycznej, Przegląd Dorobku Filii oraz szereg imprez centralnych jak np. „Gapa 74” (Pałac — 4-5 IV), Cyrk Rozrywkowy „Ostryga” itp.

★

13 — niby feralna, a jednak takiego balu już dawno nie było w „Zniczu” jak Bal Przebierańca (13 I br.) przy muzyce tradycyjnej (a mówią, że nie lubimy). Tańczono tanga, walce..., było wiele atrakcji. W sumie — impreza godna naśladowania.

★

Cicho i bez rozgłosu (kto ponosi za to winę?) 18 XII 73 r. w sali uniwersyteckiej im. Nehringa wystąpił gościnnie szwajcarski teatr ONZE z Lozanny ze spektaklem: „Imagieres, czyli sen Hamleta”.

★

Wydział Kultury ZG SZSP wraz z Gdańskim Towarzystwem Sztuk Pięknych organizuje Ogólnopolski Konkurs na Plakat o tematyce związanej z budową Portu Północnego. Bliższe informacje można zdobyć w Komisji Kultury RU SZSP.

(—)

„Dr Kałuszyński przyjmuje” — pod tym hasłem w każdy czwartek od godz. 19.30— do 21.00 przyjmuje specjalista-psycholog. Zwłaszcza teraz przed sesją polecamy tego typu konsultacje. Odbywają się one w Domu Studenckim „Nad Fosą”, w którym w trosce o dobre przygotowanie i przedsesyjne samopoczucie „pierwszoroczników” narodziła się inicjatywa.

★

Wszystkich zainteresowanych studentów informujemy, że basen AZS czynny jest w poniedziałki i wtorki w godz. 11.00—15.00, czwartki i piątki w godz. 11.00—14.00.

★

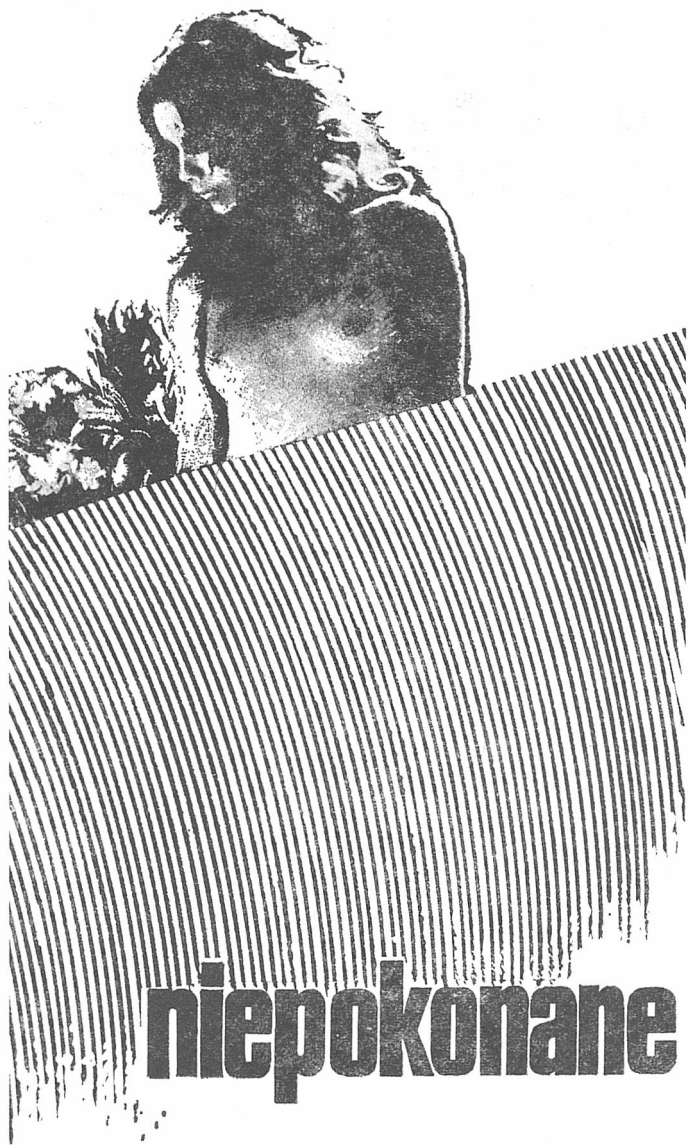
W meczu koszykówki mężczyzn z cyklu eliminacji o wejście do II ligi drużyna AZS Wrocław pokonała MKS/AZS Zielona Góra 74:54. W tabeli prowadzi obecnie AZS Wrocław — 27 pkt przed Starcem Łódź — 27 pkt i Turowem Zgorzelec — 26 pkt.

★

Akademickie Studio Piosenki klubu „Pod Wilkinami” (DS „Sezam”) ogłasza nabór chętnych do realizowania swych artystycznych ambicji: piosenek, literackich, muzycznych. Klub proponuje warunki lokalowe, akompaniament dobrego zespołu muzycznego „Skamander”, fachowe oko instruktora śpiewu. Wszystkich, którzy chcą być twórcami prawdziwej kultury studenckiej prosimy o zgłaszanie się w DS „Sezam” (p. 217) do kol. Zbigniewa Burzyńskiego. Liczymy na Was!

SPROSTOWANIE:

W artykule „A słowo ciałem się stało” („Sigma” 4/54) błędnie zostało podane nazwisko dyrektorki przychodni — Teresy Pieńkowskiej. Przepraszamy.



niepokonane

(druga sekwencja całości o tym samym tytule)

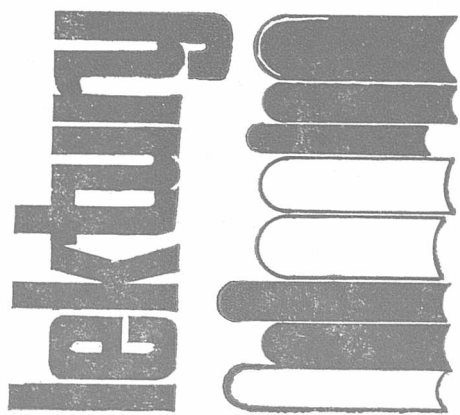
Sławomir Hulanicki

Ojciec siedział wtulony w kąt przedziału, drzemał, poprzez stukot kół mógł słyszeć urywane pochrapywanie, obserwował także niemiarek drgawki krtani, przez okno wpadały płatki sadzy i sapanie lokomotywy, czasami zabłąkany promień słońca, migotliwy blask kiedy wjeżdżali w przecinkę, a brat młodszy i kuzyn naprzeciwko siebie, przy oknie, i on naprzeciw ojca, wciąż jeszcze nie senny, nawet nie zmęczony chociaż musieli wstać bardzo wcześnie, przed świtem, potem sam (ostatni raz tych wakacji) zaprzągnął konia, i nie wypuszczał lejca aż do stacji, już nie patrząc na konia oddał lejce wujowi i nie obracając się ani razu, poszedł na peron, trzymał w sobie zapach świeżo skoszonej trawy, szczęk kosy na kamieniach i stygnącą krew na żdźbłach, jeszcze niczego nie widział, nie domyślał się nawet czyje to przekleństwo i czyj krzyk i czyja noga znalazła się pod kosą, czyja kosa zawadziła o czyją nogę, i drugi raz machnął, potem trzeci i czwarty aż czuł szarpnięcie ramienia i płacz brata, ale nadal nie rozumiał czemu przeszkadzają, więc chciał jeszcze raz wziąć zamach kiedy usłyszał ten drugi płacz i w tej chwili uświadomił sobie, że to właśnie krew, ujrzał parę kropel na końcu kosy tej co trzymał w ręku, wiedział już; do wsi jest spory kawał, a oni nie mają nawet koszul, więc ktoś będzie musiał iść bez majtek, ale najpierw zanieś kuzyna do rowu, obmyje skaleczenie i przyłoży liść babki, tamci płakali, brat tarł mu go mocno za ramię, więc wiedział przynajmniej, że to będą majtki brata (w lipcowym słońcu ten malec będzie musiał świecić gołym tyłkiem przed całą wsią), dobrze więc, odrzucił kosę i już odwrócił się i teraz mógł widzieć wykrzywione w placzu twarze: kuzyna siedzącego i brata stojącego przy nim i tę krew na trawie,

na rękach kuzyna, w oczach, także w oczach swoich (wiosną poszli na wagary do zoologicznego ogrodu, skracali sobie czas drażniąc małpy, wcale nie czuł też bólu, a widział wpierw kropelki krwi i białe zęby zwierzęcia złączone z jego ręką, której przecież nie cofnął, a nadal trzymał nieruchomo i nie wiadomo jak długo by to trwało gdyby nie jakiś okrzyk z zewnątrz, ale wtedy także jeszcze trzymał rękę między kratami, i trzymałby dalej lecz razem z ręką wyszarpięty został nagle przez dozorcę tak nagle, że wypadła teczka trzymana pod pachą, patrzył na krew rozlewającą się po ręce i dał się prowadzić do ambulatorium, nie protestował przy zastrzyku i tylko białą bandaż działał na nerwy, i znowu na zimowych wakacjach u wuja na wsi gdzie podczas wigilii dali spróbować wódki a izba zaczęła nagle kołysać, tak że z trudem dotarł do drzwi sieni i dalej wyczołgał się na podwórze, gdzie w ciemnościach nabił guza o dyszel wozu i wcale nie miał pojęcia, że ma guza i leży w śniegu równo pod samym dyszlem gdzie go zastalała ta rudowłosa córka gospodarza obok — przykładała mu parzący śnieg, a po jakimś czasie razem zaglądali przez okno do izby gdzie tamci dalej pili, śnieg prószył i zaraz za chwilę sноп światła wyleciał z sieni a z nim strzępy rozmów i teraz już także kuzyn stamtąd był na podwórku, ale nie uderzył o dyszel, o nic się nie uderzył, nie odrywając oczu od okna, za plecami czuł jak kuzyn uchyla wrota stodoły, później posłyszał cichy szept rudej i nadal trzymając się za ręce pobiegli pod stodołę i cicho wsunęli się do środka gdzie było zupełnie ciemno, tylko zapach siana i szelest, bo początkowo nie słyszał tamtych szeptów, ale chciało mu się śmiać, bo co też mógł mieć do roboty kuzyn i siostra rudej w stodole po ciemku, nagle poczuł szarpnięcie i także już leżeli oboje na brzuchach w sianie, a do środka jak do studni wpadały słowa tamtych, bez związku, w nieładzie, dławiące jakieś, suche, popękane, znaczenia nie pojmował, które dopiero miał zrozumieć po kilku latach, przeżyć po kilkunastu już jako dojrzały mężczyzna co w przedziwny sposób zachował zupełną czystość, wręcz niewinność mimo tych wielu kobiet co przemknęły, przeszły, przesunęły się czy też przewlokły przez jego życie, z tą różnicą, że wcale nie miał namawiać, a wręcz zarzekał się tego, choć przecież pragnął tej dziewczyny więcej od wszystkiego innego i ona go pragnęła, a mimo to coś bliżej nieokreślonego stało na drodze, nie chciała wierzyć w ten przyjazd, ale przecież przyjechał nim minął tydzień i nie zastał jej i czekał pod portiernią zdenerwowany niby sztabak i nie upłynęło pięć minut kiedy zobaczył ją u wylotu ulicy w październikowym słońcu i coś w środku puściło, chciał biec chociaż nie zrobił kroku, a ona szła uśmiechnięta z blaskiem w twarzy i kiedy już była blisko, puścili się pędem i w następnej sekundzie chwycił ją w locie, długo przyciskał do siebie czując jak oczy mu wilgotnieją, zapiera dech i czując ciepło jej ust na swojej szyi, wilgotniejące oczy — stali tak bardzo długo na środku jezdni wymijani przez samochody i motocykle co tyłko zwalniały i żaden kierowca nie wychylił się z szoferki żeby ich skłąć, bo wszystkim wydawało się normalne, chłonał jej obecność i nie nie było wokół niego, nie, za wyjątkiem ramion splecionych wokół szyi i ust wędrujących po twarzy, zwilgotniałych i błyszczących oczu — zalała go fala wstyd i pociaśniał rudowłosą dziewczynkę ku wyjściu, a potem uciekł od niej do przepełnionej gwarem izby i czerwienił się przez następne dni kiedy starała się do niego zbliżyć, zaraz też bez słowa począł ściągać majtki z osłupiałego brata, tak samo dokładnie i wolno kiedy ściągał bandaż założony w ambulatorium, a przy obiedzie powiedział matce, że skaleczył się na pracach ręcznych, nim się też brat opamiętał, miał już jego spodenki w rękach i ciął ostrzem kosy w równe paski — wtedy poczuł to pierwsze uderzenie w twarz i dużego kalibru przekleństwo w dziecinnych ustach, ciął dalej, więc drugie uderzenie spadło w tył głowy i upadł na twarz w trawę obok ostrza kosy, blisko, prawie uczył chłód metalu, wcale się nie zezłościł, płacz kuzyna dochodził z daleka, w bliskości chłodnego ostrza kosy przysłuchiwał się miarowemu cykaniu świeższy i bzykaniu owadów, czuł także palące promienie słońca na plecach, nie myślał tego co miał pomyśleć kiedy przyszła do niego pierwszy raz i kiedy potem (gdy już się pożegnał) pobiegł zaraz do toalety gdzie było duże lustro i zaczął oglądać swoją twarz i przypominał sobie, że tylko milimetry dzieliły go od zmasakrowania tej twarzy, więc leżał spokojnie w trawie tuż przy kosie co mu wcale nie rozorała twarzy i byłby leżał dalej nie wiadomo ile, gdyby nie poczuł następnych uderzeń, teraz już w plecy i ryku brata tuż nad swoją głową, więc się zerwał i machnął na oślep i czuł jak pięść zagłębia się w miękkim brzuchu i w tej chwili zrobiło mu się żal, i żal mu się zrobiło płaczącego ciągle kuzyna, więc podniósł wpierw brata a potem pomógł wstać kuzynowi i razem pokuśtykali do pobliskiego rowu, gdzie wszystko zrobił jak trzeba i jak nie trzeba, a potem już we trójkę

ruszyli do wsi i brat niósł kosę co nie rozcięła twarzy a rozcięła nogę kuzyna, kosę co nic nie rozcięła i grabie co nie były kosą i nie miały nic do rozcinania — wciąż widział ten brudny bandaż na nodze kuzyna i twarz brata z rozwianymi przez pęd pociągu włosami i wiedział też o czym oni rozmawiają chociaż wcale się nie przysłuchiwał, miał naprzeciwko ojca śpiącego biednego ojca z nieodłącznym paskiem przy spodniach, atrybutem władzy, tego ojca, który sztywno drzemał, i który nie wiadomo jaki by był, to i tak byłby najlepszy, za kilka godzin miał już na nią patrzeć, a potem wieczorem, miał zaglądać z podwórza w to oświetlone okno, za którym ona czytała książkę, drugi wuj nie wyszedł na stację, więc sami piechotą musieli pokonać trzy kilometry idąc skroś łąk obsadzonych olchami, przez mostki zmurszałe i piaszczyste ścieżki, aż dotarli do zagrody na czas wieczornego pojenia bydła i nie wnosząc do domu walizek zabrali się do pomagania, ojciec z wujem usiedli na stosie pociętych pniaków, a oni trzej i Janka wyciągali wodę żurawiem ze studni i napełniali koryto co ani rusz nie mogło się napełnić — gwarno było na podwórku: skrzypiał żuraw, co wyciągał drewniane wiadro z wodą, chlustała woda z wiadra do koryta co nie dało się napełnić, mlaskaly konie, krowy, jałówki i owce co nie pozwalały aby koryto się napełniło, i ojciec gadał z wujem na pniakach, które on wkrótce zaczął rąbać kiedy ciotka wyszła z siekierą, więc: trzaskaly pniaki co on rąbał, gadał ojciec co miał jego i brata, i wuj gadał co do niego przyjechała Janka, i kuzyn gadał co go ojciec przywiozł do wuja i także ciotka gadała z rękami założonymi na dużych piersiach, i skrzypiał żuraw co przy nim był gadający brat i gadający kuzyn i gadająca Janka co przyjechała do gadającej ciotki co stała z założonymi rękami niedaleko gadającego wuja. co siedział z gadającym ojcem na pniakach gadających pod gadającą siekierą, a gadające drzazgi leciały do gadającej wody co ją pily gadające konie, krowy, jałówki i owce, wszystko więc gadało na podwórzu aż do wieczora — ciotka przygotowała kolację i Janka także przygotowała kolację, bo pomagała ciotce, a wszyscy jedli tę kolację w milczeniu za wyjątkiem wuja i ojca co się jeszcze nie nagadali na podwórku, jedli wszyscy wspaniałą kolację, bo przyrzadziła ją ciotka co jej pomagała Janka, i zaraz też wszyscy spać poszli (mężczyźni na siano a kobiety do domu), nie poszedł spać i spać nie poszła Janka, czytała książkę, którą pokazała na samym początku, ale w końcu kiedy nazagładał się już do okna, poszedł też, a śniło mu się to wszystko co było na podwórku i wstał rano tak jakby w ogóle się nie kładł i nie było nocy, jakby Janka też nie kładła się spać i ciotka i wuj i konie, krowy, jałówki i owce wuja, i także nie kładły się spać ani ojciec, ani brat, ani kuzyn — zaraz pojenie bydła, śniadanie i już wyruszyli na pole gdzie zaczęła pracować maszyna a oni stawiali snopki, potem było południe i Janka przyszła zawołać na obiad, poszli więc wszyscy za wyjątkiem jego, siedział w cieniu olszyny, patrzył jak tamci znikają daleko za krzakami i jak znika Janka, i smutno było kiedy poszła, ale gdy wychodzili z kawiarni gdzie cały czas mówił zupełnie nie patrząc, jak gdyby się bał zajrzeć w te wielkie błękitniejące oczy, co ich jeszcze nie widział przedtem, raz tylko jeden na nią spojrzął i już przynajmniej to sobie uświadomił, że ta dziewczyna jeśli z kimś naprawdę wpadnie to wpadnie, i także zapragnął żeby tym kimś był właśnie on, prędzej czy później zobaczy się z nią, bo zupełnie zapomniał o telefonie co mu zostawiła, i dopiero teraz przed lustrem przypomniał sobie tę serwetkę, co ją miał starannie złożoną w kieszeni, wcale nie zamierzał dzwonić, zresztą niczego nie zamierzał, postanowił po prostu czekać, i też nie mylił się, bo już ją miał ujrzyć za dwa dni i miał się także dowiedzieć jakie wywarł na niej wrażenie, jak, co, wtedy coś się nagle obróciło w ich znajomości i wszystko potoczyło się tak jak pragnął — podczas więc każdego następnego spotkania mógł ją poznawać i mógł także analizować wszystko to, co mu powiedziała, i już wcale nie bał się patrzeć jej w twarz, a wręcz przeciwnie, starał się tę twarz rozpoznać, zapamiętać w każdym szczególe, ale to było niemożliwe, bo nawet po latach znając tę twarz tak dokładnie, nie znał jej zupełnie chociaż mógłby odtworzyć z pamięci milimetr po milimetrze, to go właśnie niepokoiło, więc zerwał się spod olszyny i pędem przebiegł ze sto kroków, bo dalej nie musiał biec, zobaczył Jankę siedzącą wśród trawy pod ogrodzeniem z nieokorowanych żerdzi, siedziała z tą swoją książką przed oczyma, stanął i przez chwilę przerzucał oczy to na Jankę, to na książkę, ale to nie trwało długo, bo Janka podniosła wzrok i wcale nie czuł kiedy ruszył, nie wiedział również jak znalazł się na trawie obok niej, tylko w gardle mu zaschło i nie mógł wydusić słowa, chociaż czuł, że należy coś powiedzieć, czuł że należy mówić żeby oszukać siebie i jeszcze kogoś w sobie i jeszcze drugiego kogoś poza sobą, ale język stanął dęba

i nie mógł go zmusić do ruchu, co znowu robiły ręce wpięte w wyrwijając chaotycznie trawę, potem uczył nagle pod palcami sztywne piersi dziewczyny, i zimny chłód liznął go przez plecy i zdrętwiała skóra na karku, ale nie wypuścił piersi a przyczołgał się bliżej i już także przez koszulę i spodenki czuł jej ciało tak wyraźnie jakby była zupełnie goła i sam był zupełnie goły, a ręce gdzieś zawędrowały pod bluzkę i nagle odskoczyły chociaż dziewczyna nie zrobiła niczego żeby go zniechęcić, zaraz też usiadł oparty o słupek, co był nieokorowaną żerdką, ale nie mógł spojrzeć w to miejsce gdzie leżała dziewczyna, starannie omijał wzrokiem ją rozrzuconą na trawie i rozrzuconą książkę i te miejsca wgniecione jego kolanami, potem wstał i poszedł w stronę domu, nie przypuszczając nawet, że nim dotrze do zagrody już znacznie żałować tego, co powinien zrobić i czego nie zrobił choć dziewczyna nie dała żadnego znaku niechęci, zawrócił sprzed wrót, ale zastał tylko wygniecioną trawę, bo dziewczyna musiała wpięte się sama pozbierać, a potem pozbierała książkę i razem odeszły, książka i dziewczyna — obiad to nie smakował i praca w polu nie szła i nic zupełnie tego dnia już nie szło i również nie szło przez następne dni aż się przełamał i zaczepił Jankę w drzwiach chałupy, jak będzie wieczór wyjdź na podwórze, powiedział, po pojeniu bydła, po kolacji wyjdź na podwórze Janka, i czekał nadejścia tego wieczoru, czas się rozciągał niby guma do żucia, więc chodził wśród drzew pomiędzy zabudowaniami zaglądając do ogrodów w poszukiwaniu kwiatów (na ten wieczór powinny być kwiaty i koniak i odpowiedni nastrój, co wywołują te kwiaty i koniak: zapach trunku z zapachem kwiatów razem z zapachem wieczoru, świeżej pościeli jego i jej ciała oraz pokoju), nie dbano o kwiaty w osadzie podczas jesieni, nie troszczono się podczas każdej innej pory roku, stracił więc nadzieję na nastrój i tylko liczył już na działanie trunku, gdy przed ostatnią chałupą zobaczył rząd rozkwitłych szkarłatem róż, i już je widział w tamtym pokoju, pchnął furtkę i prosto podszedł do grubej kobiety na podwórku, te kwiaty pani sprzeda, powiedział, potrzebuję dużo kwiatów, więcej niż tu rośnie w ogrodzie, powiedział, wszystkie kwiaty wykupię w tej osadzie i osadach pobliskich, w całym powiecie, województwie, w całym kraju, powiedział, *te róże nie są do sprzedania*, otarła ręce o brzeg fartucha, patrzyła mu prosto w oczy, *nie sprzedam tych kwiatów niech sobie rosną tak jak rosły sobie do teraz*, mówiła, potrzebuję te kwiaty, wszystkie kwiaty potrzebuję, dam dużo pieniędzy, więcej pieniędzy niż one warte, proszę przynieść nożyczki, powiedział, w domu ma pani nożyczki, oczywiście do strzyżenia, cięcia, krajania, *nie są do sprzedania*, nie potrzebuję pańskich pieniędzy usuwała ręce, chowała je za plecy, *kwiaty niech sobie rosną pod ścianą*, kwiaty, są moje a pieniądze pani, siłą wepchnęła pieniądze w kieszeń fartucha i mimo protestów popychała ją w kierunku drzwi domostwa, nożyczki pani kiedyś kupiła, łodygi mają duże kolce, bez nożyczek się nie obejdzie, miał więc kwiaty, miał także koniak, pokój miał i świeża pościel, wszystko potrzebne do nastroju — czekał pod bramą fabryki z kwiatami w środku, z nastrojem w środku, bez alkoholu w środku, z pokojem i pościelą bardzo blisko, jeszcze na zewnątrz niej, obok niej, przy niej, ale już z nią, po schodach na pierwsze piętro, w zgrzytanie zamka i pisk zawiasów drzwi i w pojękiwanie sprężyn tapczana, w odgłosy ulicy za oknem, w odgłosy życia na zewnątrz, w samo życie w środku, wieczór zszedł na rozmowę, co wcale nie była rozmową, a przygotowaniem nastroju, w kieliszkach z zapachem róż we flakonie, co przedtem nie był flakonem, przyszedł z odgłosami na zewnątrz i z życiem w środku, do którego jeszcze nie dotarli, i do którego nie mieli dotrzeć przynajmniej tego wieczoru, i następnego, bo potem musiał wyjechać i pozostało tylko pisanie listów, ale wieczór już przyszedł i Janka także wyszła na podwórze, powstrzymywały go ręce, co nie trzymały teraz książki, *ciemno tu*, powiedziała, *chodź do domu*, powiedziała, *jest zapalona lampa*, powiedziała, *naftowa lampa*, powiedziała, *otwarta jest książka*, powiedziała, otwarte jego ramiona, pomyślał, otwarte serce, pomyślał, otwarte wnętrzości, pomyślał, otwarty wszechświat, pomyślał i powłócząc nogami poszedł za nią i siedział na podłodze i był wściekły na siebie, że musi słuchać jej czytania, był wściekły na nią, że czyta, wściekły był na drukarzy, co tę książkę wydrukowali, wściekły był na pisarza, co tę książkę napisał, na tę lampę był wściekły, na to skąpe światło i na wszystko był wściekły, więc się zerwał z podłogi, już późno, powiedział, kładziemy się spać, powiedział, odwróć się, nie będę patrzeć, *nie o to chodzi*, powiedziała, *ja śpię zawsze nago*, powiedziała, *jest drugi tapczan*, powiedziała, *taki sam drugi*



NIEOBO WIĄZKOWE

Lothar Herbst

o młodej prozie wrocławskiej – uwag kilka

Dla nikogo, ani dla czytelników, ani krytyków nie będzie zaskoczeniem przypomnienie, że Wrocław jest przede wszystkim miastem poezji i poetów. Tu przed laty powstawały liczne grupy poetyckie, tu toczyły się żywe i płodne dyskusje nad kształtem i wyrazem artystycznym polskiej poezji. Tu przed wieloma laty toczyła się spór o znaczenie nowej liryki grupa poetycka DLACZEGO NIE z resztą literackiego świata, tu klóciły się o to samo grupy literackie AGORA i UGRUPOWANIE 66, tu wreszcie debiutowali (co nie jest bez znaczenia dla rozwoju młodej poezji wrocławskiej) wybitni dzisiaj poeci: Tymoteusz Karpowicz (powtórnie, po okresie szczecińskim), Urszula Koziół, Bernard Antochewicz. Tu również toczyły się gorące spory, odbijające się szerokim echem po prasie literackiej całego kraju, wokół poezji Stanisława Chacińskiego, Romana Drahana, Salomei Kapuścińskiej czy Janusza Stycznia, potem Rafała Wojaczka i Marianny Bocian. Tu wreszcie powstała poezja konkretna Stanisława Dróżdża. Tak było i jest w poezji, bo po tych znakomitych dokonaniach nadszedł czas na nowe debiuty i pojawiły się one wraz z nazwiskami Bogusława Kierca, Henryka Kubickiego, Jana Pawła Krasnodębskiego, Lecha Isakiewicza. A ostatnio – co widać szczególnie wyraźnie na kolejnych turniejach poetyckich o LAUR ARKI w klubie studenckim „Pałacyk” – przybywa nam coraz młodszych liryków, wśród których dużą nadzieję wrocią Czesław Sobkowiak, Mirosław Maciej Ratajczak czy Gabriel Kamiński.

A co z prozą? Istnieje, ale nie tak licznie reprezentowana, nie takie istotne posiadająca sukcesy i nie takie ważne pobudzająca dyskusje. I dotyczy to nie tylko prozy młodej, tzn. autorów debiutujących gdzieś w późnych latach 60-tych, ale wręcz całej produkcji wrocławskich pisarzy. Pisarzy, którzy w czasie tego 30-lecia nie wydali zbyt wielu ważnych, liczących się pozycji, bez których literatura nie mogłaby się, mówiąc banalnie, obejść. Nie wydała ich zbyt wiele, ale istotne są książki Henryka Worcella, Tadeusza Mikołajka, Urszuli Koziół. Nieważne są w końcu ograniczenia terytorialne, tzn., gdzie kto mieszka i pracuje, ale w żaden sposób nie da się ukryć wpływu, jaki miała na młodą poezję wrocławską po roku 1956 liryka Karpowicza. O przezwyciężenie wpływów poezji lingwistycznej w swojej własnej twórczości walczyli prawie wszyscy ówczesnie młodzi – od Chacińskiego, poprzez

Stanisława Srokowskiego, Romana Drahana, Lucjana Kielkowskiego, do Rafała Wojaczka włącznie. Obecność Karpowicza, spory jakie z nim toczono, obecność wielu innych indywidualności miała wpływ istotny na szybki, dynamiczny wręcz rozwój młodej poezji wrocławskiej. I jeżeli młoda proza rozwijała się mniej dynamicznie, książki były nie najciekawsze, to może i nie bez znaczenia jest fakt, że akurat w tej mierze o płodnych, intelektualnie i artystycznie dyskusjach można było jedynie pomarzyć.

Ówczesne książki prozatorskie Kazimierza Koszutskiego, Edwarda Kurowskiego czy Dionizego Sidorskiego powstawały na marginesie ważnych sporów czy tendencji literackich. Żadna z nich, może poza *Katastrofą* Kubikowskiego nie stała się nawet powodem istotnej dyskusji literackiej, nawet w samym środowisku wrocławskim. Nie stawiam tu żadnych zarzutów tym pisarzom, nie o ocenę ich twórczości mi tu chodzi, chciałbym jedynie zwrócić uwagę na istotne fakty nie zezwalające młodym, debiutującym prozaikom nawiązywać do ważnych tradycji prozatorskich we własnym środowisku. Dlatego też prawie każdy debiut prozatorski młodego pisarza z końca lat 60-tych był zaskoczeniem, i dla czytelników, i dla krytyków. A bywały i debiuty istotne, by przypomnieć tylko tomy opowiadań Stanisława Chacińskiego (*Jest jak jest* – 1968) i Krzysztofa Coriolana (*Szybkobiegacze* – 1968). Te dwa debiuty zwróciły na siebie uwagę prawie wszystkich interesujących się literaturą współczesną. Były one czymś więcej niż tylko skromnymi zbiorami opowiadań, były książkami wpisanymi w ówczesny klimat i ówczesne dyskusje światopoglądowe, proponowały własny model świata i własnego, często kontrowersyjnego bohatera; były również próbą wyjścia poza „zakłętą” krąg zainteresowań i stawiania nowych diagnoz – „małych realistów”. Do tego doszła świeżość obserwacji obyczajowych, społecznych, i element istotny: inny, bardziej artystycznie płodny – język. Może to nie było nawet takie widoczne wtedy, u końca lat 60-tych, ale jest to tym wyraźniejsze teraz, kiedy już mamy poza sobą spory o literaturę tworzoną przez „małych realistów”, kiedy właśnie te dwie wrocławskie książki wybijają się poza tamtą przeciętność.

Nie były to jedyne debiuty, do głosu doszło bowiem pokolenie nowe, inne od pokolenia „Współczesności” – roczniki czterdzieste. Tomami prozy debiutują inni młodzi pisarze: Jan Leża-

chowski (najwcześniej z tej generacji) powieścią *Zabrońcie się żegnać* (1964), potem Jerzy Pluta – tomem opowiadań *Pas* (1967), Józef Bialecki – tomem opowiadań *Worek życia* (1967), Ernest Dyczek – tomem opowiadań *Pierwsza wypłata* (1969), Stanisław Pasternak – tomem opowiadań *Nieznajoma* (1969), Artur Gabor – powieścią *Spalony* (1970).

W porównaniu jednak z licznymi w tym czasie debiutującymi poetami lub następnymi toмами wierszy autorów po debiutach, z ich znaczeniem w literaturze polskiej, sporami jakie wywoływały, liczbą i znaczeniem książek, jakie zostały napisane przez młodych prozaików wrocławskich jest raczej skromna. Nie znaczy to, że nasi młodzi prozaicy są nieobecni w życiu literackim, że nie podejmują istotnej i ważkiej problematyki; są obecni, drukują na łamach prasy, w almanachu POMOSTY, ostatnio w suplemencie KONFRONTACJE LITERACKIE, gdzie przecież objawiły się ciekawe propozycje Wojaczka, Isakiewicza, Kapuścińskiej, Kundy.

Wokół żadnej z tych wydanych pozycji nie toczyła się jednak, chociażby ożywiona jedynie, dyskusja (na miarę debiutów Redlińskiego, Trziszki, Myśliwskiego czy Głowackiego), nie licząc zainteresowania jakie wzbudzała i wzbudza dotychczas nie wydana powieść Wojaczka *Sanatorium* i złośliwego ataku młodych (wówczas) współpracowników „Kultury” na opowiadania Dyczka. Tak było do roku 1972.

W tym bowiem roku, może przełomowym dla młodej prozy wrocławskiej, ukazała się powieść Józefa Łozińskiego *Chłopacka wysokość* (otrzymała I nagrodę na konkursie na debiut prozatorski, zorganizowanym przez LSW, ZLP i ZMW). Powieść – niespodzianka, autora prawie nieznanego w środowisku literackim, debiut ważny. Powieść ta, tak odmienna od dotychczasowych propozycji pisarskich pisarzy wrocławskich i nie tylko wrocławskich, wzbudziła szerokie zainteresowanie krytyki i czytelników. Była omawiana na łamach prawie całej prasy literackiej, rozpętała się wokół niej istotna dyskusja. Stała się sporym sukcesem wydawniczym młodego autora (rocznik 1945). Na czym polega ten niewątpliwie sukces *Chłopackiej wysokośći*? Przede wszystkim na odmiennym potraktowaniu tematu wiejskiego, bo jest on obecny w tej powieści, staje się głównym źródłem jego negacji i dalej – na eksperymentach językowych. Wieś nie staje się jedynie jałową fascynacją, jeszcze jednym tematem-samograjem, ale perspektywą szerszą, światopoglądową. Bohater, typowy, jakby się wydawało, chłopak „wiejski” odkłamywuje wieś, swoją sytuację społeczną, buntuje się przeciw zastanej rzeczywistości, ośmiesza ją, degraduje, ukazuje jej „miny” i „pupy”. Przeżycia bohatera stają się pretekstem do obrachunków nie tylko z wiejską rzeczywistością, ale i „rzeczywistością” fabularną i językową tzw. prozy wiejskiej. Łoziński ukazuje jak ów język sam się kompromituje w zderzeniu ze światem rzeczy, pojęć, schematów, pokazuje jak łatwo jest parodiować czyjś styl, jak język jest mało przydatny do analizy istotnych spraw naszej codziennej rzeczywistości, jak jest nieudany, kłamliwy. Poprzez takie obnażanie rzeczywistości, poprzez taki bunt zbliża się Łoziński bardzo do dokonania „młodej fali” poezji polskiej



W rubryce tej, mającej charakter wolnej trybuny, twórcy i krytycy wrocławscy prezentować będą swoje poglądy na temat sztuki. Mamy nadzieję, że te — na ogół polemiczne — głosy wzbogacą toczącą się w naszym środowisku dyskusję na temat kształtu współczesnej twórczości artystycznej.

jak daleko, jak blisko...

Jak daleko stąd, jak blisko sięgają granice poznania? Jak daleko, jak blisko sięga nasza świadomość i wyobraźnia? Jak daleko my ludzie dojrniemy? Oto pytania, które nie każdy może stawiać sobie, ale stawia się je bardzo często nauce i sztuce. Te dwie sfery twórczości ludzkiej słusznie nazwano w pierwszej połowie XX wieku dwoma skrzydłami, dziś, uaktualniając to określenie, naukę i sztukę nazwać możemy dwoma rakietowymi silnikami napędzającymi tę samą rakietę postępu świadomości ludzkiej. Nie trywizując zagadnienia zastanówmy się, jak to jest z tymi sferami ludzkiej działalności? Bez wątpienia obie sfery są twórczymi; wątpliwości zaczynają się rysować dopiero podczas określania linii podziału i w czasie uchwycenia dominacji którejś ze sfer. Supremacja owa, jak uczy historia, jest zjawiskiem dynamicznym, co z góry stwarza dodatkowe trudności poznawcze.

Pozostawiając twórczość naukową tym razem na uboczu, skupmy swoją uwagę nad twórczością artystyczną — dokonajmy wreszcie ostatniego zbliżenia, zajmijmy się poletkiem nam najbliższym, czyli twórczością plastyczną.

Lata siedemdziesiąte naszego stulecia: loty na księżyc, sondy kosmiczne, przekroczenie prędkości światła, strzały na Bliskim Wschodzie, w Indochinach, Afryce i Ameryce Południowej, głód, epidemie, skandale, malwersacje, zagrożone życie biologiczne w jak najszerszym tego słowa znaczeniu — oto jest stenograficzny bilans naszych czasów; w tym wszystkim musimy przecież się znaleźć, żyć, może tylko wytrzymać — faktem jest bezsprzeczny, iż my tu jesteśmy, tkwimy w tym po same uszy dzięki kolejnej zdobyczy tychże czasów — telewizji. I tu zaczyna się naturalna selekcja; przeważnie tepiejemy, potrafimy przecież oglądać krwawe sceny z Chile rozkoszując się smakiem szynki czy też karcąc niesforne dziecko itp. Są jednak ludzie, którzy nie podlegają wpływom tego otępienia, a wręcz przeciwnie — to, co do nich dociera poprzez masowe środki przekazu, pobudza ich wyobraźnię, wywołuje sprzeciw gorący lub aprobatę — to są właśnie artyści. Manifestacją tych wszystkich sprzeciwów, aprobat są ich dzieła — są one także próbą rozwiązania problemów nurtujących epokę, jak i — małych problemów nurtujących przeciętnego śmiertelnika; są również uspokojeniem siebie, usprawiedliwieniem za swoje

istnienie, są wreszcie nieodgadnioną tajemnicą...

Sztuka więc nie istnieje sama dla siebie jak to nam próbują implikować niektórzy teoretycy; nie można jej rozpatrywać w oderwaniu od całokształtu spraw danej epoki, a nawet — od danego terenu. Rozpleniające się gadulstwo zarówno teoretyków sztuki jak i artystów plastyków jest aktem ekshibicjonizmu odsłaniającym może tylko kciuk, a może trwałą impotencję twórczą. Faktem jest, że krytyka plastyczna i czyste sztuki plastyczne przeżywają kryzys, i nikt dziś z całą pewnością nie może powiedzieć czy kryzys ten jest chwilowym, czy też pogłębiać się będzie z biegiem lat. Ów stan impasu został wywołany szeregiem czynników, przy czym najważniejszym z nich jest utrata pierwotnej funkcjonalności czystego malarstwa czy też czystej grafiki. Dziś rolę nadwornych malarzy przejęli nadworni fotoreporterzy — łatwiejsze to, szybsze i tańsze. Za to drugi odłam sztuk plastycznych przeżywa, właśnie ze względu na swoją funkcjonalność, tendencje zwyżkowe, nieomal renesans; widać to dokładnie na wszelkiego rodzaju targach plastyki, gdzie meble, gobeliny, szkło i ceramika znajdują wręcz masowych nabywców w przeciwieństwie do malarstwa i grafiki. — Wreszcie, same formy przemysłowe czy publicystyka plastyczna (plakat) lub wszelkiego rodzaju scenografie... użytkowość tutaj jest w każdym calu ewidentna i — jak się wydaje — nie można w tych dyscyplinach mówić o czystej twórczości artystycznej, jakkolwiek jest to także twórczość.

Brak funkcji społecznych czy też indywidualnie ludzkich we współczesnej grafice i malarstwie jest tylko pozorny. W tej pełnej kontrastów epoce wiele jest do zrobienia wbrew obiegowemu stwierdzeniu, że „wszystko już było”. Zagoniony, zmaltretowany współczesnością człowiek szuka czasami (wręcz nieświadomie) wyjścia, wytchnienia szuka od tego nawału faktów, wydarzeń, spraw dużych i małych; gubi się w tym współczesnym labiryncie zatraćając przez to własną indywidualność i stając się bijorobotem, jakimś tam złączem, jakimś kółkiem cywilizacyjnej maszyny. Zatraćając indywidualność, zatraca sens życia, jałowiej dbając jedynie o blichtr powierzchownej egzystencji; nie stać go już na indywidualność w tej całej masie zakazów, w tych społecznościach gdzie większość

praw zaczyna się na „NIE”; stąd tak częste społeczne psychozy, histerie, stąd też wszelkiego rodzaju zboczenia, gwałty, mordy perwersyjne itp. Przecież to nie innego jak próby ucieczki z codziennej szarości, próby zaznaczenia swego „JA”, nieświadome próby, złe próby, szkodliwe społecznie próby, ale nadal — próby.

Niestety nie rozumie tego większość artystów ślizgając się jedynie po powierzchni współczesności, werbalizując, udiwniając — byle tylko zaskoczyć, byle błysnąć, byle stać się popularnym, sławnym, bogatym...

Happening włączył żywą akcję, więc stał się niczym innym, jak znanym od tysięcy lat teatrem; konceptualizm wyeliminował dzieło sztuki jako przedmiot materialny, skracając jakoby drogę o jedno ogniwo (klasyczny układ jest następujący: środowisko-artysta-dzieło-odbiorca, czyli element środowiska); konceptualizm wyeliminował (dzieło) utrwalając jednak pod postacią wypowiedzi, zapisku itp. koncepcję dzieła. Spytać się należy: a czymże jest ów zapisek, szkic, wypowiedź utrwalona, czymże jest, jak nie kolejnym przedmiotem materialnym?

Ktoś spryskuje polimerami sad, ktoś opakuje półwysep folią plastikową, buduje pomnik z milionów baniek po benzynie, trzyma konie w salonie wystawowym, rozbija mur, kopie rów, zakopuje gigantycznych rozmiarów kamień, buduje bezsensowne maszyny, ktoś inny znowu obwozi ludzi ulicami wielkiego miasta i oblewa ich krwią zwierząt oraz obrzuca ich flakami, wreszcie ktoś inny w śnieżnobiałej pościeli zarzyna świnie, rozbiera do naga współuczestniczkę seansu, obmazuje ją flakami zabitego zwierzęcia, posypuje mąką i na oczach widzów spółkuje z nią, a wszystko się dzieje na tle muzyki na temat walczącego Wietnamu — to są przecież powszechnie znane wydarzenia artystyczne z szerokiego świata.

I znowu nasuwają się pytania: Jak daleko stąd do absurdu, jak blisko? Gdzie jest sztuka, a gdzie szarlataneria? Gdzie się podzieli artyści?

Poszukajmy więc odpowiedzi, poszukajmy w sobie, u innych, gdzieś, nie znajdziemy jej przecież w tekście zamieszczonym wyżej — odpowiedź jest bowiem bardzo złożona, wielowarstwowa i nadal nie ujawniona.

ŚLAWOMIR HULANICKI

Panu Wolniakowi w odpowiedzi...

W 2/52 numerze „Sigmy” ukazała się wypowiedź Pana Henryka Wolniaka na temat jego poglądów na poezję. Takie przynajmniej były intencje Redaktora Działu Kultury „Sigmy”, gdy poprosił tego — znanego przecież — poetę o zainaugurowanie rubryki „To ja mam racje”.

Nie jestem poetą (nie uprawiam też zawodu poety), nazwisko moje — w przeciwieństwie do nazwiska Pana Wolniaka — nie nie znaczy na polu kultury (jedyń mój artystyczny sukces, to śpiewanie w wieku lat 9 w pierwszej po wojnie operze dziecięcej w Polsce), ale ośmieliłem się twierdzić, że to co Pan Wolniak napisał w swym artykule p.t. *Poezja aktem miłosnym* jest wielkim i żalonym nieporozumieniem.

dokończenie na str. 26

ostatnich 4–5 lat. To ważne, w ten sposób otrzymujemy właściwy obraz owych spraw, o które walczy młoda literatura, to rzutuje na jej odrębność artystyczną. Być może nie wymienię jeszcze innych istotnych źródeł owego literackiego sukcesu, ale te są, według mnie, najważniejsze. I jeżeli w powieści przeważa czasami nurt stylizatorski nad innymi, i jeżeli nawet Łozińskiemu nie do końca udaje się opis naszego świata – to zrobił wiele. Zrobił tyle, że jego debiut stanie się ważnym krokiem w rozwoju młodej prozy, i pewnie, sądząc po drukowanych fragmentach nowej powieści – nie ostatnim.

W roku 1973 ukazały się dwa debiuty prozatorskie młodych pisarzy wrocławskich. W wydawnictwie „Śląsk” ukazał się tom opowiadań *Dużo słońca w szybach* Jana Pawła Krasnodębskiego, w wydawnictwie „Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza” – tom opowiadań Ludwika Majchrzaka *Czarcie żebro* (ten ostatni występował często pod pseudonimem Ludwik M. Esseński).

Debiut Krasnodębskiego zasługuje na uwagę. Młodemu pisarzowi i poecie udało się stworzyć własną wizję świata i własny styl, nie brakuje mu również ciekawych bohaterów, którzy mówią nam wiele i o samym pisarzu i o jego generacji (rocznik 1947), których przeżycia nie są jedynie banalną projekcją rzeczywistości. Bohaterami jego opowiadań są ludzie młodzi, o wielu zawodach, od studenta do poety, szukający dla siebie miejsca w społeczeństwie, walczący o własne prawa do życia, do marzeń, którzy nie zawsze zgadzają się ze światem ukształtowanym przez dorosłych, są do nich często nastawieni

buntowniczo, ale nie jest to bunt jawowy (tak często obecny w prozie „małych realistów”), lecz konstruktywny. Ludzie ci, jeżeli nawet nie zgadzają się z pojęciami, jakie ukształtowali ich rodzice, to starają się z nimi dyskutować, przeciwstawiając im własną wizję świata, być może bardziej romantyczną, bardziej młodzieńczą, ale dla nich – prawdziwszą. Bohaterowie buntują się przeciwko normom społecznym, obyczajowym, ale nie zamierzają – idąc np. śladami swoich poprzedników literackich – żyć na marginesie społeczeństwa, lecz przeciwnie, chcą mu pokazać w czym się ze sobą – młodzi i starzy – różnią, pokazując równocześnie i to, co ich łączy. Krasnodębski nie obarcza swoich młodzieńczych bohaterów niepotrzebnymi kompleksami, nie szuka jedynie cech ich odrębności, pokazuje ich takimi, jakimi są, często śmiesznymi w swoich gestach miłosnych, często zabawnymi przy próbie rozwiązywania problemów życiowych. Stara się napisać prawdę o swoich bohaterach, prawdę o sobie, o generacji ludzi urodzonych w drugiej połowie lat 40-tych. I stara się pokazać, że ich przeżycia, ich kodeks moralnych i etycznych wartości jest ważny, istotny. Do tego dochodzi i oryginalna forma jego opowiadań, często stosowane monologi wewnętrzne.

Zupełnie odmienną propozycję tworzącą stanowi tom opowiadań Majchrzaka, tom wzbudzający sprzeciw i za tematykę i za jej artystyczne „wykonanie”. Majchrzak nawiązuje bowiem do tematu wiejskiego, ale w sposób już tak ograny, tak banalny, że aż denerwujący. Sądzę, że wynika to stąd, że Majchrzak konstruuje świat nierzeczywisty, świat literacki. Jego wieś, gdzieś w poznańskim województwie, jego bohaterowie są nietalentowni, żyją ży-

ciem nieprawdziwym, wymyślonym przez pisarza. Nie jest to świat obserwacji, lecz spekulacji. Co prawda, stawia nas pisarz w obliczu świata rzeczywistego, w obliczu przywar lat 60-tych, w obliczu śmierci, miłości, zbrodni, wiejskich chałup, w obliczu „wiejskiej gwary” (jakże nieautentycznej po *Konopielce* Redlińskiego!), ale jest to do przyjęcia pod jednym warunkiem – że ten cykl w zamierzeniach swoich miał być groteskowy. Ale takim się nie stał, i tu tkwi moja niezgoda, bo jaki świat deformuje pisarz? Świat istniejący w „bajkach” o wsi. Być może są to opowiadania śmieszne, bo śmieszne są problemy i w ogóle – „śmieszne jest życie”. Ale to trochę za mało, otrzymujemy wizję wsi, która mogłaby poprzedzać dokonania Redlińskiego, Trziszki, czy klasyka tego nurtu – Kawałca. Ale czy zadowala ambicje pisarza młodego? Wątpię, wątpię tym bardziej po *Chłopskiej wysokości*. Wierzę natomiast w Majchrzaka, którego *Czarcie żebro* nie jest chyba ostatnim jego głosem.

Wierzę również w kontynuację udanych debiutów przez następnych pisarzy, przez Isakiewicza, Kundę, Kapuścińską, wierzę w pośmiertny sukces *Sanatorium* Wojacka, książki tak potrzebnej dla uzupełnienia osobowości twórczej tego znakomitego poety.

Młoda proza wrocławska nie jest mniej ciekawa od wielu propozycji powstających w kraju, ale też propozycji ważkich ma o wiele mniej. Dwa jednak debiuty: Łozińskiego i Krasnodębskiego wybijają się znacznie ponad przeciętną – i to jest ważne. Teraz należy tylko czekać cierpliwie na drugie książki Pluty, Dyczka, Chańskiego, Coriolana...

LOTHAR HERBST

Panu Wolniakowi w odpowiedzi

dokończenie ze str. 25

Po pierwsze, Pan Wolniak sprowadza całą poezję do erotyki; ona (wg Pana Wolniaka należałoby napisać ONA) jest jego zdaniem najważniejszą, ona się najbardziej w świecie liczy, jej treźba całą poezję przyporządkować. Erotyka jest najdoskonalszą miarą i wzorcem, do którego można i należy poezję przyrównać. Uważam, że taki pogląd przynosi poezji krzywdę. Jest przecież tyle rzeczy, które poezja powinna wyrazić, tyle doznań w sferze uczuciowej człowieka, które powinna odzwierciedlić, że pominięcie tej całej gamy barw ludzkiego „ja” i skoncentrowanie poezji wyłącznie na miłości i seksie świadczyć może jedynie o zubożeniu intelektualnym jej twórców.

Po drugie, Pan Wolniak w artykule, w którym miał wyrazić swój pogląd na poezję, dzieli się z Czytelnikami „Signy” rewelacyjnymi spostrzeżeniami w stylu: *w miłości nie chodzi o samogwałt, w chorym społeczeństwie miłość zastępuje się prostytutką(...), Pełny akt miłosny to taki, w którym ani świat, ani język, ani my nie będziemy w stosunku do siebie, (...)trudno burdel nazwać małżeństwem doskonałym*. Pisze też, że *Socjologowie ubolewają nad miernym stanem liczbowym naszych rodzin. A rodzina poetycka – liczna*. Nie można oczywiście powiedzieć, że to wszystko nie ma sensu,

że to są po prostu bzdury. Tylko, że Pan Wolniak miał pisać o swoich prywatnych poglądach na poezję, a nie na sprawy burdeli i prostytucji. W swoich wywodach o erotyzmie „podpiera” się cytatem z Pima św. Równie dobrze by się tu nadawał fragment Konstytucji Paragwaju czy też próbnego obliczania przed startem rakiety Saturn III. Jeśli uznać to wszystko za metaforę czy też przyrównać do poezji, to przerazenie człowieka ogarnia i usta same składają się do modlitwy: „Panie Boże strzeż nas od takich poetów!” A może to jest właśnie Awangarda? No cóż, Ci, którzy nie mogą zdobyć się na nic wartościowego i cenionego, zawsze lubią otaczać się przymiotnikami „awangardowy”. Są zawsze ponad tłumem marniaków i prawie zawsze szybko się o nich zapomina – o ile w ogóle się pamiętało. Pan Wolniak nie musi się chyba wysilać żeby zdobyć uznanie, więc po co takie wykrzykiwanie i splanianie pojęć?

Za szczytowe „osiągnięcie” artykułu uważam zdanie: *W „Odwróconym świetle” Karpowicz próbuje „kopulować ze światem, ale czyni to przez kalki” i przy pomocy matematycznych i logicznych raffurek*. I dalej... *Neoklasyści posunęli się bodaj dalej w grze miłosnej, ale spółkują z antycznymi mumiami*. Odnoszę wrażenie, że autorowi tych zdań pewne rzeczy śnią się obsesyjnie po nocach. Jest to oczywiście Jego prywatna sprawa, ale po co męczyć Czytelników?

Poza tym, co to znaczy, że *Poezja tkwi nie tylko immanentnie w świecie,*

języku i człowieku, po to by została odkryta, ale również po to, by nie została odkryta(?) Co to znaczy, że śmierć jest różnoodurowiona? Ja oczywiście nie twierdzę, że język jakim przemawia poeta powinien być uściślony aż do przysłowiowego już $E = mc^2$, ale jeżeli będzie on aż tak uduziwniony, że rozumieć go będzie tylko sam twórca, to gdzie sens poezji? W miłości i akcie oddania! – zakrzyknie zapewne Pan Wolniak.

Dochodzi Pan Wolniak w swoim artykule do wniosków pesymistycznych: *Niewiele da się ocalić ze sztuki*. Dlaczego? Pewne dzieła sztuki przetrwały przecież tyciaclecia. Wszystko to, co piękne, zostanie ocalone, przekazane następnym pokoleniom. Czego się Pan Wolniak obawia? Czy tego, że jego przeerotyzowana poezja zginie już jutro? Niech więc wyciągnie odpowiednie wnioski – tworzenie sztuki tylko wtedy ma sens, gdy ma ona jakąś wartość, gdy może wzruszyć i spodobać się innym. Szkoda, że nad tym nie zastanowił się Pan Wolniak w swoim artykule!

Na koniec pragnę podkreślić, że moje zastrzeżenia pod adresem Pana Wolniaka dotyczą artykułu *Poezja aktem miłosnym*, a nie Jego wierszy. Uważam, że stać by Go było na ciekawą wypowiedź na temat poezji, dróg po których ona kroczy oraz przyszłości jaka ją czeka. To wszystko jest bardzo ciekawe i szkoda, że ktoś taki utalentowany i znający się na rzeczy zmarnował nadarzącą się okazję.

ZBIGNIEW SZTUBA

tapczan, powiedziała, nie ma drugiego pokoju, powiedział, jest drugi tapczan i ten sam pokój, powiedziała, nie ma drugiego tapczana, odrzekł, nie ma drugiego pokoju, odrzekł, nie ma tu mnie, odrzekł, nie ma drugiego pokoju tapczana mnie, odrzekł, nie ma niczego drugiego, uspokoił, nie ma niczego pierwszego, nie ma nic, zamknął i milczał długo wsłuchany w szelest zdejmowanej bluzki, spódnicy, rajstop, bielizny, rozczesywanych włosów, pościeli, ciszy, co potem nastąpiła, odgłosów życia na zewnątrz, i milczenia w środku, miał za chwilę dołączyć do tego szelest własnego ubrania, własnej bielizny, skóry własnej, pościeli, tapczana, przedłużał jednak tę pauzę, wyciągał, i patrzył w tę twarz zanurzoną w białej pościeli i był także już pewny tego co się właśnie nie stało w ten wieczór, ani następny i zastanawiać się musiał dlaczego tak postąpił, dlaczego nadzy leżeli obok siebie, w chłodnej: cieplej, cieplejszej, najcieplejszej pościeli, aż w parzącej pościeli, leżeli nago rozkryci także, i on wydłużał tę pauzę, tę ciszę pozbawioną szelestów, bo odgłosy życia na zewnątrz też były ciszą, i ciągle czekał na przerwanie tej ciszy, dawał jej szansę,

dawał szansę, i trwała cisza także przez następny dzień i wieczór i noc, i przerwał ją budzik który rozkazywał wracać z powrotem do interesów, spraw których wpierw nie lubił, potem pokochał, i znowu przestał lubić, aż w końcu przestał wiedzieć, czy je lubi czy też nie, pokazał mu także budzik zatłoczony autobus, pociąg zatłoczony, który ze stukotem wywoził go z tej ciszy, w hałas dworcowego hallu, zgiełk ulicy miasta, dzwonki tramwajów i telefonów, pomiędzy rozgadany świat, rozeźlony więc poszedł spać na siano gdzie pochrapywali już, wuj, ojciec, brat i kuzyn, i gdzie wśród zapachów rozmaitych ziół także miał pochrapywać, bo teraz wiedział, że tę ciszę powinien przerwać osobiście bez dawania szans sobie i jej, wiedział że pozostaną listy, które niczego nie wyjaśniają, a jeszcze chyba pogłębią tę ciszę, nie napisane, nie wysłane listy, niepotrzebne listy, może już niepotrzebne listy, nigdy nie napisane, od nikogo do nikogo i wracał już rankiem do domu, w turkocie kół, w chybotaniu i skrzypieniu pulmana, w sapaniu lokomotywy napływającym przez otwarte okno, przy którym siedział brat z kuzynem bez bandaża na nodze, a ojca miał naprzeciw z przymkniętymi oczyma i rozbieganą krtanią — tak to jest.

ŚLAWOMIR HULANICKI

fol. J. BORTKIEWICZ

PRZEBŁYSKI

Precyzja jest trochę prymitywizmem: nie daje szansy domysłowości.

★

Cóż za niepowtarzalna radość istnienia: pierwsze spódniczki, bluzeczki, staniczki, majteczki...; cóż za radość istnienia: spódniczki, bluzeczki, staniczki, majteczki...; cóż za radość: spódniczki, bluzeczki, staniczki, majteczki...; cóż za nuda z tą całą konfekcją!

★

„Mam tego dość!” — powiedział autor. „I ja też!” — dodał zapisany notes.

★

Humanitaryzm: umarli pochwał nie oczekują, a jednak ich się chwali.

★

Skromność: to, co się chciałoby mieć, gdyby nie można uniknąć tej ewentualności.

★

Aforysta jest jak barmanka: ten nie dopowie, tamta nie doleje.

★

Znajdując się już na dnie, poprosił o poziomice — a nuż staczałby się jeszcze po równi pochylej?...

★

„Ktoś się musi poświęcić” — powiedział młody kapłan.

★

Gdyby Marconi znalazł program Polskiego Radia, wynalazłby najpierw urządzenia zagłuszające.

★

Człowiek nie jest odosobniony: nasi przyjaciele są żonaci, ale i my jesteśmy przeważnie żonaci i mamy przyjaciół.

★

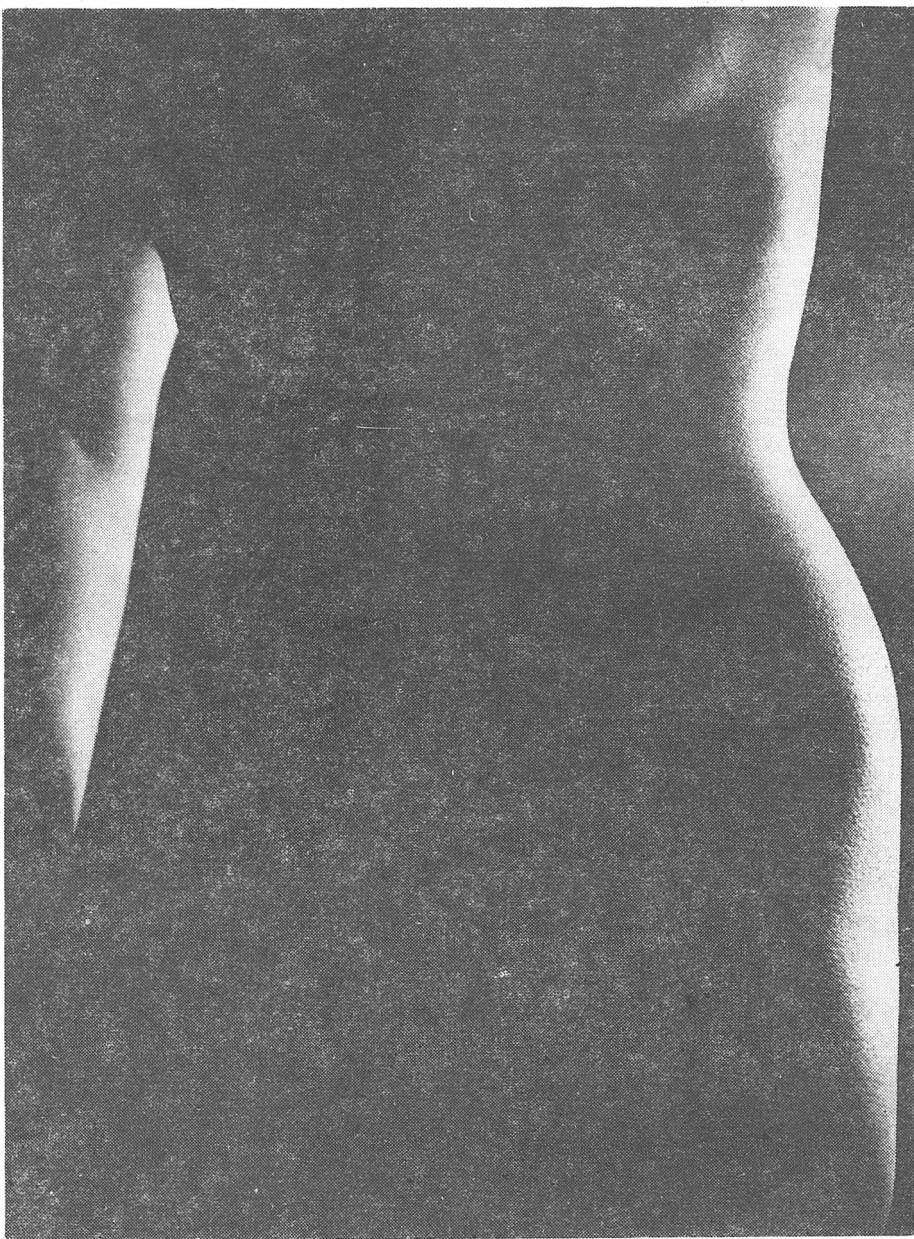
Świat jest wielką rodziną. Dla reszty, ostatecznie, znajdzie się bezludna wySPA.

★

Przeraża pojęcie przerażenia.

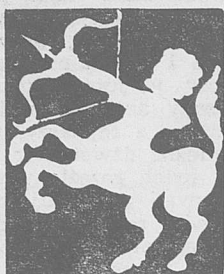
★

I jak tu żyć, by nie przeszkadzać innym, gdy nawet po śmierci zabierasz miejsce innemu.

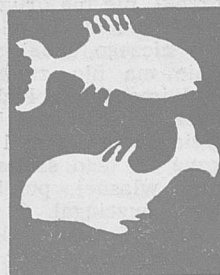
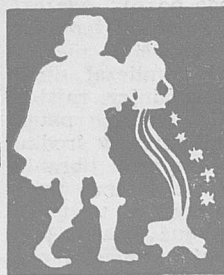


Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. S. Janiszewskiego 14 pok. 14/15, tel. 22-70-51 w. 20 (poczta wewnętrzna: P-9/S). Redaguje zespół w składzie: ERNEST DYCZEK (redaktor techniczny), JERZY GIRULSKI (redaktor naczelny), ŚLAWOMIR HULANICKI, WOJCIECH KOZAK, MARIA MARCOLLA-WOLCZEK (sekretarz redakcji), MAŁGORZATA MICHAŁAK, JANUSZ M. PAWLIKOWSKI (z-ca redaktora naczelnego), ZBIGNIEW SZTUBA, STANISŁAWA SZULC, TOMASZ WIELICKI, RYSZARD WOJTASZEK (z-ca redaktora naczelnego).

Opracowanie graficzne: STANISŁAW RYSZARD KORTYKA, przy współpracy ANDRZEJA KLIMCZAK-DOBZANIECKIEGO



Opracował: Jan Starża Dzierżbicki
Prezes Towarzystwa Astrologicznego



Kto urodził się



LUTEGO

Jest to przyjaciel postępu, lubiący współdziałać z innymi, posiadający niezwykle zdolności polemiczne zarówno jak i militarne, dzięki czemu może zrobić karierę w zawodzie wojskowym. Jego usposobienie w ogóle jest dość wojownicze, a jego agresywność może go nawet zapędzić w sytuacje niebezpieczne.

Jednak na zewnątrz jest zazwyczaj ostrożny i delikatny, a jego zachowanie się nacechowane jest uprzejmością.

Umysł jego jest płodny i bystry, obfitujący w wybiegi i fortele. Czasami brak mu zdolności skupienia się na wyższych celach życiowych. Natura jego jest jednak czujna i aktywna; dba wielce o swe interesa i troszczy się o ich obronę.

Lubi swoje ognisko rodzinne i troszczy się o swój wygląd zewnętrzny.

Wady. Nierozwinięty taki człowiek okazuje dużo próżności, stara się zwrócić na siebie uwagę i wejść w stosunki z wyższymi sferami towarzystwa. Zwłaszcza względem osób utytułowanych odczuwa wielki szacunek, nie szczędzi im swego uznania i holdów.

Gdy rozwinie się duchowo i zrozumie do jakiego stopnia ciało jest narzędziem ducha — może opanować stopniowo wszelkie swe dolegliwości fizyczne, rozwijając idealizm, humanitaryzm, znajomość charakterów ludzkich.



LUTEGO

Wykazuje duże zdolności zarówno w atakowaniu przeciwnika jak i w bronienu swej pozycji i dlatego może być doskonałym adwokatem. Umysł jego jest ostry, przenikliwy, a wystawienie się jasne i precyzyjne.

Lubi studiować, a wiedzę, jaką zdobywa, potrafi zużytkować odpowiednio. Jego droga życiowa może

tywność życiowa związana z karierą pochłania go nieraz do tego stopnia, że mało może zaznać szczęścia osobistego w życiu.

Pożąda uznania i słusznej oceny swych czynów, a jego przyjaciele i znajomi są nieraz Niemile zdziwieni, widząc jak stosuje tę samą uprzedzającą grzeczność i przyjazność w stosunku do wszystkich ludzi.

Wady — to zarozumiałość, urojenia, sofistyka i karierowiczostwo, albo w zakresie życia umysłowego, albo też czysto materialnego.

Typ nieudany — nie posiada żadnej wartości i pozbawiony jest treści wewnętrznej. Myśli, że wszystkiego w życiu można dokonać przy pomocy kawałów i forteli. Może mu się to nawet przez pewien czas udawać, ale w końcu urwie się ucho i dzbana i może popaść w rozstrój lub chaos psychiczny. Tu należą zwłaszcza ofiary opętanych kinowych.

Wyższy typ natomiast jest tak inteligentny i krytyczny, że wszystkie swe siły potrafi skoncentrować w jak najlepszym kierunku i naturalnie osiąga wówczas powodzenie życiowe.

Cechuje go poczucie własnej godności. Jest poniekąd naturą królewską — lubi występy publiczne, spełnia dobre uczynki, a w życiu może osiągnąć wyniesienie. Ceni bardzo swą wolność wewnętrzną.



LUTEGO

Intelektualny, wszędzie zbierający doświadczenia życiowe — potrafi wyrażać się płynnie. Gdy raz wytworzył sobie jakiś pogląd — nie da się odwieść od niego. Niezwykle wrażliwy na swe otoczenie, jest człowiekiem ambitnym, szlachetnym, lubiącym sztukę.

Wszystkie te cechy odnoszą się jednakże wyłącznie do ludzi rozwiniętych duchowo. Bowiem spośród ludzi urodzonych dzisiaj należy rozróżniać dwa typy.

Typ dodatni jest subtelny i myślący, studiuje naturę ludzką i ma wrodzoną łatwość nawiązywania stosunków z obcymi.

Typ ujemny jest kapryśny, nieobliczalny i nie można na nim polegać. Jest samowolny, zarozumiały i żyje urojeniami. Na niskim stadium swego rozwoju jest to człowiek prymitywny — natura brutalna, którego kaprysy i fantazje stają się po prostu nieznośne.

Co mu grozi. Niechaj nie daje się unosić gniewowi i nie wpada w pasję, gdyż wówczas może się narazić na większe nieporozumienie. Człowieka nierozwiniętego te Niemile właściwości jego charakteru mogą nawet narazić na niebezpieczeństwa.

Niechaj stara się opanować i dąży do osiągnięcia najwyższego rozwoju moralnego, a wówczas jego los ulegnie wybitnej zmianie na lepsze, uświadomienie wewnętrzne połączy się w tym wypadku z powodzeniem materialnym.



LUTEGO

Jego charakter jest całkiem specjalny, a wykazuje przytem duże zdolności w pewnym określonym kierunku. Może prowadzić studia poważne, dzięki wysiłkom wytrwałym zgłębiając tajniki przyrody. Widok nieba zasianego gwiazdami i morze wywiera nań wpływ fascynujący.

Jego najbliższe otoczenie najczęściej nie potrafi go należycie ocenić, ponieważ go nie rozumie. Wielka wytrwałość łączy się w nim z naturalnym poczuciem lojalności.

Wrażliwy, obrotny, czuły — ma nieraz dwa mieszkania, dwa ogniska rodzinne lub dwa zawody. W jego życiu podwójność występuje dość często, Kobiety urodzone w tym dniu nieraz zawierają dwa małżeństwa.

Losy tego człowieka nieraz są dość niezwykle; czeka go wiele przygód. W życiu szuka zazwyczaj wyższych ideałów. Można na nim polegać i powierzać mu stanowiska wymagające dużego zaufania.

Co mu grozi. Może osiągnąć stanowisko wybitne, lecz grozić mu będzie niebezpieczeństwo przewrotów życiowych, które będzie się starał znosić z rezygnacją.

Trzeba dodać, że zarówno starsze jak i młodsze osoby urodzone tego dnia posiadają dużo wrodzonej skromności. Taki człowiek w młodości zazwyczaj jest dość szczupłym o twarzy okrągłej i rysach delikatnych. Z wiekiem staje się bardziej korpulentny.

